



FUSS
MAGAZYN

NUMER 21 (1) STYCZEŃ 2017
ISSN 2300 - 3758
WWW.FUSS.COM.PL



ROZMIAR MA ZNACZENIE?

WWW.LAZOWSKA.COM

SPIS TREŚCI.

KENTUCKY ROUTE ZERO — MAGICZNIE SZARE MIEJSCA, KTÓRE DOBRZE ZNAMY BARTŁOMIEJ DOMAGAŁA JULIAN ZIELONKA	4
VAN GOGH DEPRIVED PAULINA ZIĘCIAK ANNA TEODORCZYK	9
WCIAŻ ŻYWI MINIMALIZM ANNA NOWICKA KAROLINA NIEDZIELSKA	13
HYGGE REVISITED — SPOJRZENIE NA DANIĘ KAŚKA NOWACKA ANNA ŁAZOWSKA	17
WIĘKSZY NIŻ W INNYCH MIASTACH AGATA WIECZOROWSKA BASIA GRZYBOWSKA	25
ZATRZYMAĆ WIELKOLUDA ŁUKASZ MUNIOWSKI MARIUSZ HOŁOD	30

SPIS TREŚCI.

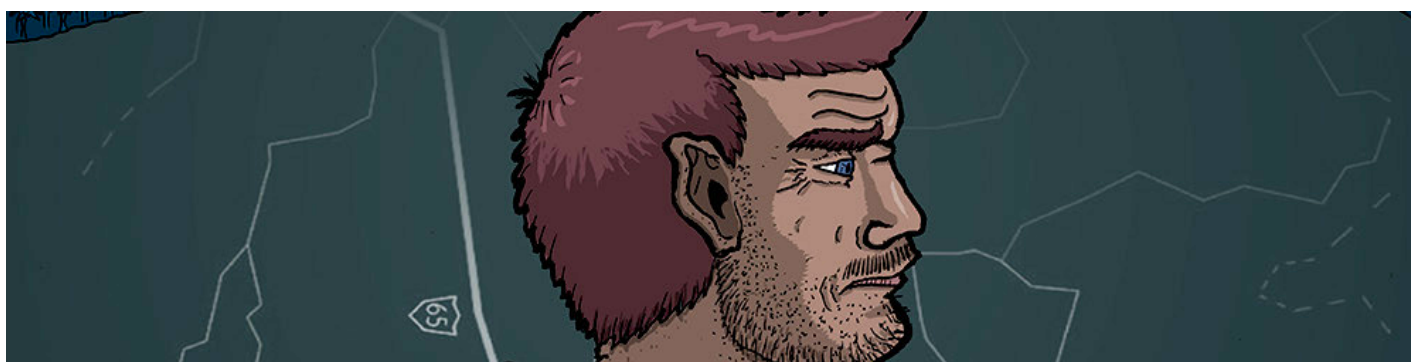
JAK MIERZYĆ KANADYJSKĄ MIARĄ?	36
KATARZYNA JEZIORSKA MATEUSZ GAWRON	
BETONOWA KOMNATA	40
MARTA STAŃCZYK LUCJUSZ SAWICKI	
„WYOBRAŻALIŚCIE SOBIE WERSZE INACZEJ?”	45
ŁUKASZ KRAJ SZYMON SZELC	
PRZERZUCAM MOSTY, ZAMIAST JE PALIĆ	50
SZYMON SZMYD MAGDALENA ŚLÓSARCZYK	
CZECHY — MAŁY KRAJ, WIELKIE PIĘKNO	56
MAGDALENA BRODACKA KATARZYNA DOMŻALSKA	
CZY DŁUGOŚĆ MA ZNACZENIE?	60
MARCIN SZTYPA KAJETAN VON KAZANOWSKI	

© FUSS MAGAZYN
ISSN 2300-3758

REDAKCJA:
REDAKTORKA NACZELNA: MAGDALENA URBAŃSKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ, SKŁAD: KLAUDYNA SCHUBERT
REDAKCJA I KOREKTA: MARTA STAŃCZYK
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: ANNA ŁAZOWSKA
WYDAWCA:

KREATOR
UL. PRZEWÓZ 40D/76
30-716 KRAKÓW

WWW.FUSS.COM.PL | REDAKCJA@FUSS.COM.PL



KENTUCKY ROUTE ZERO – MAGICZNIE SZARE MIEJSCA, KTÓRE DOBRZE ZNAMY

BARTŁOMIEJ DOMAGAŁA | JULIAN ZIELONKA

Moja pierwsza przygoda z *Kentucky Route Zero* rozpoczęła się i zakończyła dawno temu, urwana na granicy rozdziałów – moich, oraz, jak śmiem przypuszczać, twórców. Życiowe perturbacje, które zastały mnie w czasie zetknięcia z historią opowiadaną przez niepozorny program komputerowy, oraz przeciągające się odsłony premier kolejnych odcinków zepchnęły mnieze ścieżki ku poznaniu losu bohaterów. Przy okazji pisania tego tekstu postanowiłem więc poświęcić trochę czasu na zastanowienie się nad dość ważną kwestią: dlaczego wracam do gry, którą porzuciłem trzy lata temu? Dlaczego, pomimo dostrzeżenia jej potencjału, początkowo nie przykuła mnie do siebie i nie przyniosła oczekiwanej satysfakcji?

KRZ jest przykładem gry niezależnej, a wstępna faza jej produkcji przypada na okres, w którym *indie games* przeżywają swój największy boom. Czym są? Przede wszystkim tworzone są przy finansowym wsparciu nie wydawcy, lecz społeczności, którą deweloper zainteresuje swoim pomysłem. Dzięki temu nic nie ogranicza ich na płaszczyźnie kreatywnej. Dla omawianej gry oznaczało to bardzo wiele – pozwoliło jej wyróżnić się przy bardzo małym budżecie wśród wielu innych tytułów, w tym ogromnych projektów, przy których pracuje niekiedy nawet kilkadziesiąt osób. Obecnie Cardboard Computer, niewielkie, 3-osobowe studio deweloperskie, od co najmniej 6 lat pracuje nad swoją minimalistyczną grą komputerową, która docelowo składać ma się z 5 aktów wydanych w formie epizodycznej. W 2011 roku na Kickstarterze

w 30 dni zebrano 8583 dolary, które umożliwiły wyjście z fazy *concept artu* oraz dalszą produkcję. Początkowo planowano 3-miesięczne odstępy między epizodami, jednak w 2016 roku wydano dopiero akt IV, a ostatni wciąż czeka na premierę.

Twórcy zaznaczają, że taki stan rzeczy wynika m.in. z eksperymentalnej formy programu. Określają swoje dzieło jako grę przygodową (*point-and-click*) utrzymaną w konwencji realizmu magicznego. Drugorzędną sprawą pozostają tutaj umiejętności gracza (jak rozwiązywanie łamigłówek), gdyż autorzy skupiają się przede wszystkim na opowiadaniu historii i operowaniu nastrojem. Inspiracje czerpią z twórczości Gabriela Garcíi Márqueza, Mary Flannery O'Connor czy Davida Lyncha. Używają także skryptów teatralnych, by usprawnić tworzenie postaci, dialogów, projektowania przestrzeni, światła i ruchu w stworzonych komputerowo lokacjach. Wspomniany wcześniej zabieg okazał się być może nie nowatorski, lecz odwoływał się do pierwszych przygodowych gier tekstowych z końca lat 70., co przy obecnym postępie technologicznym jest nietypowym i intrygującym osiągnięciem. Dodatkowo doskonale koresponduje z estetyczną sferą odbioru, dzięki czemu *KRZ* uzyskała status gry artystycznej. To wszystko spowodowało, że odczuwa się obcowanie z czymś nowym i oryginalnym. Gra została ciepło przyjęta przez krytyków, ale jak dotąd nie zyskała sobie rzeszy fanów; być może bliżej jej pojęciu kultowości z uwagi na specyficznego odbiorcę, ale na razie wydaje się być to zbyt pochopnym określeniem.

Głównym bohaterem opowieści jest Conway, dostawca antyków. Podróżuje w zabytkowej furgonetce, którą zawsze zostawia „na chodzie” w obawie, że coś może

się wydarzyć. Towarzyszy mu stary pies w słomkowym kapeluszu. Poznajemy ich w trakcie ostatniego zlecenia – kierowca ma dostarczyć towar pod adres Dogwood Drive. Nie może odnaleźć go na mapie, więc rozpoczyna poszukiwania na pobliskiej stacji benzynowej, gdzie dowiaduje się o istnieniu tajemniczej autostrady – The Zero. Od teraz jego przygody zaczną stawać się coraz bardziej abstrakcyjne. Podczas podróży pozna nowych ludzi, a niektórzy postanowią się do niego przyłączyć, porzucając dotychczasowe zajęcia, by towarzyszyć mu w... dostarczeniu przesyłki? Odkrycia nowego sensu? Ucieczce? Cel podróży jest na razie równie enigmatyczny, co sama autostrada, na której można się zgubić, jadąc „po prostu” przed siebie.

Conway zdecydowanie nie jest typowym bohaterem gry komputerowej. Z jednej strony podstarzały ex-alkoholik wożący przesyłki dla zamykającego się sklepu z antykami jest ciekawym protagonistą. Z drugiej – jest boleśnie prawdziwy i jednocześnie w jakiś sposób sztamkowy (jak jego problemy z alkoholem). Powolne odkrywanie jego przeszłości nie obfituje w wiele szczęśliwych wydarzeń. Nie jest też szczególnie mocno wyeksponowany na tle innych grywalnych bohaterów spotykanych w trakcie podróży, którymi dane nam będzie kierować. Każdy z nich jest naszkicowany przez twórców w taki sposób, aby dać graczowi możliwość uzupełnienia ich osobowości własnymi wyborami. Ciekawym przykładem jest postać psa. Choć nie możemy się w niego wcielić, możemy postanowić, czy nadać mu jedno z imion – Homer albo Blue – czy pozostawić bezimiennym. W trakcie gry bohaterowie mogą prowadzić monologi z pupilem Conwaya (jak i w zupełności go zignorować), odnosząc się zazwyczaj do ostatnich wydarzeń. Niekiedy bardzo zróż-

”

PODSTARZAŁY EX-ALKOHOLIK WOŻĄCY PRZESYŁKI DLA ZAMYKAJĄCEGO SIĘ SKLEPU Z ANTYKAMI JEST CIEKAWYM PROTAGONISTĄ



nicowane w odcieniach opcje dialogowe w ogóle nie będą popychały akcji do przodu. Co najistotniejsze, te „rozmo- wy” określają emocjonalne nastawienie gracza. Wyrażają niezadowolenie, rezygnację, próbują podnieść na duchu. Odnoszą się do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie wpłyną bezpośrednio na rozwój głównego wątku, mając jednocześnie duży wpływ na daną postać. Wszystko to prowadzi do kwestii odbioru. Jako że program nie posiada ścieżek dialogowych (poza bodajże jednym mo- mentem – odsłuchiwaniami automatycznej sekretarki w akcie IV), czytamy kwestie wypowiedziane przez bo- haterów, które pojawiają się na ekranie w czarnej ramce w formie scenariusza, przypominając słowa „wypluwane” przez maszynę do pisania, co zbliża, łącznie z minima- listyczną oprawą audiowizualną, ku odczuciu, że czyta się bogato ilustrowaną książkę z dedykowaną ścieżką dźwiękową. Po pewnym czasie wyobraziłem sobie głosy i twarze bohaterów, w których na dodatek wlałem własne emocje.

To chyba główny powód, dla którego po raz pierwszy porzuciłem historię Conwaya. Przyzwyczajenia długo- letniego gracza każą raczej oczekiwać dynamicznej akcji, użycia własnych umiejętności i poczucia satysfakcji z po- konania kolejnego etapu rozgrywki (prosząc w duchu o znośną fabułę – o ile jest w ogóle potrzebna). *Kentucky Route Zero* proponuje jednak powolną historię (którą na dodatek trzeba przeczytać), pewną dozę wolności, nie- prowadzącą wcale do niesamowitych odkryć, i oczeku- je od grającego cierpliwości oraz chęci przetworzenia sporego ładunku emocjonalnego, zastanowienia się nad z pozoru nieistotnymi zdarzeniami. Nie prowadzi też „za rączkę”, często pozwalając zagubić się w tej bądź co bądź liniowej narracji. Nie jest też najlepszym sposobem na odstresowanie po długim, nieprzyjemnym dniu pracy i nie pozwoli o nim całkiem zapomnieć, dodatkowo do- starczając materiały do reinterpretacji własnych przeżyć. Myślę, że można bezpiecznie zaryzykować stwierdzenie, że mało kto ogląda filmy Michaela Haneke, by spędzić miło i bezrefleksyjnie czas. Cieszę się, że również me- dium, jakim jest gra komputerowa, powoli staje się po-

ważną dziedziną sztuki, dostarczającą nowych sposobów przeżywania. Nie dziwię się też zupełnie ludziom, któ- rzy *KRZ* porównują do poezji – w pewien sposób działa w taki sposób. Jest pełna abstrakcyjnych odniesień do realnego świata zarówno w warstwie budowy świata, dia- logów, muzyki, jak i opowiadanej historii oraz wyborów bohaterów.

Tłem historii jest załamanie gospodarcze i koniec Amerykańskiego Snu w zderzeniu z ponurą rzeczywistością. Kentucky jest szare, pełne opustoszałych miejsc pracy – barman polewający sobie kolejkę w zakurczonym barze, zespół grający do pustej widowni czy archiwum, do którego nikt nie zagląda. Wewnątrz kościoła stwo- rzono biuro administracji (gdzie nikt nie wie, co dzieje się na wyższych piętrach – nawet o tym, że jedno z nich okupują niedźwiedzie), a w wielkim hangarze korporacji transportowej wszyscy są szkieletami, z którymi jakiegol- wiek kontakty wyglądają niemal jak podpisywanie cyro- grafu z diabłem. Ludzie są zrezygnowani, ich zajęcia tracą powoli wszelkie znaczenie. Żyją przeszłością. Żyją pracą. Zanurzamy się w klimacie ponurego *Miasteczka Twin Pe- aks* zmieszanego z *Zagubioną autostradą* – ale po odjęciu sensacji i kryminału.

Na nastrój dobitnie wpływa także muzyka (a bardzo częstej jej brak). Przez większość czasu będzie towarzy- szyc nam ambient, dość niespodziewanie przetykany kla- sycznym amerykańskim country w wydaniu lo-fi, rein- terpretowanym przez zespół The Bedquilt Ramblers, co o dziwo jeszcze bardziej pogłębia melancholijny odbiór i podkreśla tęsknotę za dawnymi, prostszymi czasami. Je-

den z trzech twórców, Ben Babbitt, odpowiada za bodajże całą ścieżkę dźwiękową pojawiającą się w grze. Od strony wizualnej prezentuje się ona bardzo teatralnie. Lokacje są niewielkie i przemyślane – często sprawiają wrażenie obrotowej sceny, odsłaniając wraz z ruchem bohaterów kolejne elementy scenografii. Gra stworzona została na silniku Unity, który doskonale poradził sobie z nietypową oprawą. Jest bardzo minimalistyczna, a za tekstury służą pojedyncze kolory. Wiele scen pozostanie mi w głowie jeszcze na długo – wylaniający się dom na szczycie wzgórza, ognisko z płonącej elektroniki wewnątrz ogromnej jaskini ze stalaktytami, niespodziewany widok nieba z księżycem odbijający się w kałużach przed budynkiem muzeum, hipnotyzujący występ zespołu czy statek pełen kotów, sunący powoli przez podziemną rzekę – to tylko kilka przykładów. Widać też, że na przestrzeni wydanych epizodów gra ewoluuje graficznie, zaskakując kolejnymi

pomysłami i eksperymentami. Z każdym kolejnym rozdziałem również bohaterowie wydają się być wyraźniejsi i bliżsi – ich sylwetki dosłownie nabierają szczegółów.

Kentucky Route Zero jest bardzo ciekawym i oryginalnym przykładem gry z prężnie rozwijającej się i różnorodnej sceny indie – skromnego, świetnie napisanego, intymnego programu z duszą w czasach, gdy stworzenie wysokobudżetowej rozrywki (również komputerowej) pod producenckim nadzorem kosztuje setki milionów dolarów. Jako że data premiery ostatniego aktu jest nieznana (enigmatyczna informacja na stronie głosi, iż nastąpi prawdopodobnie w 2017), mam wielką nadzieję, że dane będzie mi zobaczyć ostatni rozdział tej historii; historii, która potrzebuje emocjonalnego zaangażowania gracza, by mogła wybrzmieć w pełnej barwie magicznie szarych miejsc i dobrze nam znanych problemów. 🍷

Ostatnie zdania artykułu przemykają powoli przed oczyma Czytelnika. Od kilku godzin jest już zupełnie ciemno. Przez okno daje się słyszeć pomruki wiatru, nieregularnie nabierającego i opadającego z sił. Lampka przy biurku oświetla słabym światłem część pokoju, a cienie zastygają w oczekiwaniu na ruch. Podnosi głowę znad ekranu wpatrując się chwilę w sufit, zastanawiając się chwilę nad dniem, który właśnie się skończył/ właśnie się zaczął. Powoli:

Wstaje, wyłącza komputer i idzie spać. Próbuje zapomnieć.

Przeciąga się na krześle, wypija łyk kawy i wraca do swoich spraw.

Wstaje, wyłącza światło, zakłada słuchawki i klika w [link](#).

BARTŁOMIEJ DOMAGAŁA

Obserwator, leń. Lubi wycinać kolaże i odcinać się od ludzi. Podziwia dziwactwa. Szczęśliwie przeżył wieloletnią batalię o tytuł magistra kulturoznawstwa, po której już nigdy nie będzie taki sam. Nie chodźcie do szkoły.

JULIAN ZIELONKA

Książki, rysowanie i paleontologia: trzy słowa, które najlepiej mnie charakteryzują. Obecnie i przedewszystkim młody tata.



VAN GOGH DEPRIVED

PAULINA ZIĘCIAK | ANNA TEODORCZYK

Kraków. W zapomnianym i na co dzień opustoszałym budynku Dworca Głównego PKP gromadzą się tłumy. W kolejce do kas stoją ludzie w różnym wieku – grupki młodzieży, starsze małżeństwa, rodziny z małymi dziećmi. Podają kasjerkom znaczne sumy, żeby zobaczyć niezwykłą wystawę – „Van Gogh Alive”. Ale na czym polega jej niezwykłość?

„Zapomnij o tradycyjnym zwiedzaniu” – głosi napis na plakatach reklamujących wydarzenie. Wystawa wcześniej gościła już w wielu największych miastach całego świata – Berlinie, Mediolanie czy Szanghaju – zanim trafiła do stolicy Małopolski. Prace wybitnego artysty prezentowane są za pomocą multimedialnych sensorów, grafiki, dźwięku, ogromnych powiększeń. Jak twierdzą organizatorzy, ekspozycja „pozwala w pełni zrozumieć artystę”, a zwiedzający mogą poczuć się jak w kinie – mają zostać otoczeni przez prace malarza, niemalże wejść w nie, znaleźć się w pracowni, a dzięki efektom specjalnym, które „ożywiają” płótna, poznać jego twórczość dogłębnie.

SKĄD TYLE EMOCJI?

Vincent van Gogh jest uznawany za jednego z najwybitniejszych artystów drugiej połowy XIX wieku. Wprowadził on malarstwo w obręb nowej sztuki – postimpresjonistycznej, a przy tym kierunkował ją w stronę ekspresjonizmu. Jego dorobek artystyczny jest bardzo bogaty. Najbardziej rozpoznawane są malowane przez niego portrety i autoportrety, pejzaże i martwe natury, przedstawienia kwiatów, ogrodów i pól oraz widoków z elementami architektury. Część z nich przeniknęła do świata popkultury, reklamy oraz filmu. Mało kto nie zna *Autoportretu bez ucha* lub *Słoneczników*.

Artysta wywarł znaczny wpływ na malarzy i sztukę wieku XX. Po śmierci zyskał ogromną sławę, a jego dzieła niebotyczne ceny. To za sprawą niepowtarzalnego stylu. Van Gogh szczególną uwagę zwracał na barwę, głównie jaskrawe i gorące kolory z przewagą żółci przy kontrastowych zestawieniach; ale i na technikę – jego prace mają wyrazistą i zbrudzoną fak-



turę oraz impasty, które nadają im dynamizm wchodzący w sferę turbulencji. Holender dążył do ukazania efektów świetlnych, które wypracowali już impresjoniści, jednak swoje zainteresowania kierował w stronę nie tyle światła, co słońca oraz połączenia elementów realizmu, impresjonizmu oraz ekspresjonizmu.

Często w swoich pracach nawiązywał do cierpienia fizycznego oraz mentalnego związanego z jego własną chorobą psychiczną, spowodowaną m.in. przez zawód

miłośny i prowadzącą go do alienacji oraz załamania – próby samobójczej, pobytu w szpitalu psychiatrycznym, a w końcu śmierci w młodym wieku. Te elementy jego życia obok jego twórczości malarskiej fascynują po dziś dzień nie tylko pasjonatów sztuki. Stąd nazwisko „van Gogh” jest w pewnym sensie marką i magnesem, sposobem na propagowanie sztuki oraz czerpanie zysków komercyjnych.

NOWE MUZEUM

Już od kilku lat wiele instytucji muzealnych wychodzi



ŻYJEMY SZYBKO I AKTYWNI, WIĘC OCZEKUJEMY OD OTACZAJĄCEJ NAS RZECZYWISTOŚCI, ŻEBY BYŁA WIDOWISKOWA

naprzeciw współczesnym nowinkom technicznym oraz oczekiwaniom widzów (nie tylko tych najmłodszego pokolenia) i wprowadza jako element ekspozycji nowoczesne technologie multimedialne. Mają one budzić większe zainteresowanie, zatrzymywać zwiedzającego, skłaniać do głębszej refleksji, a według starego porzekadła – również uczyć przez zabawę.

Nasza codzienność, w której obcujemy z technologią dotykową, często sprawia, że w tradycyjnym muzeum nudzimy się. Nie możemy dotknąć, nie możemy działać, nie jesteśmy zainteresowani i nie zapamiętujemy. Żyjemy szybko i aktywnie, więc oczekujemy od otaczającej nas rzeczywistości, żeby była widowiskowa. Multimedia i wizualizacje angażują większą ilość zmysłów, pobudzając przez to również intelekt. Dziś placówki muzealne coraz częściej definiujemy jako muzea interaktywne, co posiada również swoją negatywną stronę, gdyż wiąże się z komercjalizacją. Mimo to instytucje konkurują ze sobą, by się unowocześnić – francuski historyk sztuki Jean Clair w *Kryzysie muzeów* zestawiał „zapyziale” muzealnictwo z masowymi uniesieniami „pierwszej miłości”.

Także artyści, nie tylko sztuk wizualnych, coraz częściej pragną zaangażować odbiorców w swoje dzieło, wprowadzając obiekty skłaniające do reakcji, wykonania określonej czynności bądź ruchu. Wtedy granica artysta–dzieło–widz zostaje przełamana, a przy tym wymagający większego zaangażowania odbiór przekształca się w lepsze zrozumienie i poznanie.

CZYM JEST „VAN GOGH ALIVE”?

Wystawa jest wydmuszką zaadaptowanych przez współczesne instytucje idei muzeum interaktywnego i muzeum multimedialnego. Jest powiększeniem wybitnych dzieł holenderskiego artysty do ogromnych rozmiarów i zaprezentowaniem ich jednocześnie na kilkunastu ogromnych ekranach, z ogromnym rozmachem niewyżytym równie ogromnej „pikselozy”. Trwający kilkanaście minut „spektakl”, wzbogacony o komentarz z informacjami na temat życia artysty oraz kilkoma efektami wizualnymi, sprowadzającymi się do ożywienia niektórych elementów obrazu lub przemieszczania ich z obrazu na obraz, umiejscawia nas na niezbyt wygodnych kanapach i zmusza do oglądania dzieł w powiększeniu. Nie skłania przy tym do zaangażowania i głębszej refleksji. Rzekome wejście do świata artysty sprowadza się do postawienia widzów do roli intruzów i gapiów, obserwatorów bardzo ubogo zaprezentowanego zresztą uniwersum.

Dwa duże ekrany wprowadzające nas do tego świata – będącego imitacją holenderskiego atelier oraz wizualnym matriksem – zachęcają jedynie do zrobienia sobie selfie wśród opadających, ogromnych płatków migdałowca. Zmęczony wpatrzonymi w ekrany, siedzącymi na kanapach współwidzami może zamienić miękką kanapę

na mniej wygodną salę imitującą wnętrze pociągu, na którego ekranach rozgrywają się te same sceny, co w sali pierwszej. Nieliczni docierają do sali trzeciej, w której prezentowane są mniej efektowne, monochromatyczne i pozbawione komentarza oraz tłumaczeń, powiększone notatki artysty.

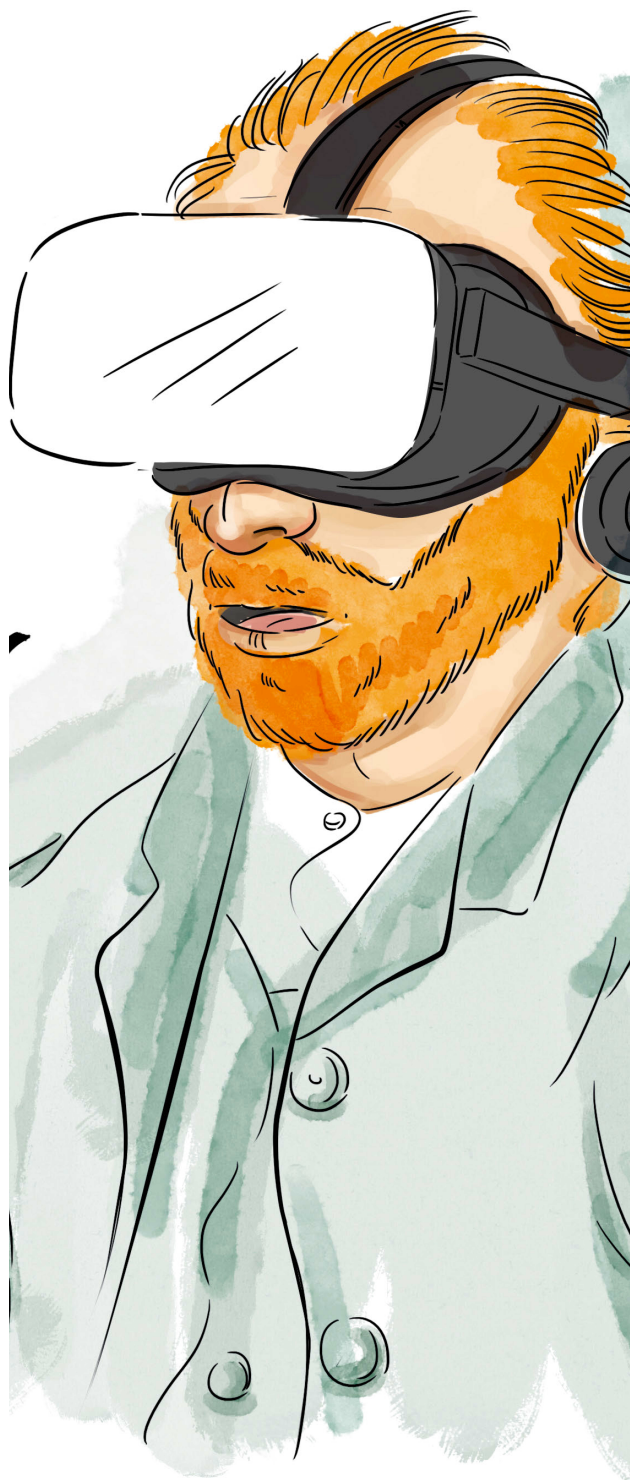
Brak ręki twórcy, nieme „kopie”, ale z drugiej strony rzesze widzów. W tym miejscu pojawia się pytanie, czy jest to czysta komercja, czy współczesny sposób promowania sztuki? Wejście kanonów malarstwa w świat dzisiejszych multimedów może być doskonałą lekcją dla muzealników oraz odbiorców, jednak ten sposób prezentacji ani nie prowadzi do wyciągania wniosków, ani nie budzi emocji. „Kultura” zostaje wykastrowana z nadrzędnej jej części, czyli „kultu”, który zostaje zastąpiony (jak ponownie wspomina Clair) przez „obojętność, hałaśliwość, wulgarność i bezwolność” 🧐

PAULINA ZIĘCIAK

Studentka V roku historii sztuki. Interesuje się malarstwem XIX i XX wieku, sztuką współczesną oraz ilustracją książkową, głównie dla dzieci. Poza tym uwielbia Sherlocka Holmesa oraz serial *House of Cards*.

ANNA TEODORCZYK

Z zawodu ilustratorka, z potrzeby autorka bloga Anna Alternatywnie o sztukach wizualnych i kulturze. Namiętny czytelnik literatury różnej oraz wierny fan gier typu point&click z ambicją na zostanie twórcą co najmniej jednej z tych rzeczy.





WCIAŻ ŻYWY MINIMALIZM

ANNA NOWICKA | KAROLINA NIEDZIELSKA

Minimalizm od momentu narodzin, czyli przełomu lat 60. i 70. XX wieku, coraz bardziej rozszerzał swoje wpływy. Stał się wyraźną inspiracją w grafice, designie, architekturze, urbanistyce, a nawet projektach samochodów czy ubrań, o czym świadczy chociażby popularność Rafa Simonsa, Jil Sander czy Narciso Rodriguez. Wraz z wpływami rozszerzała się definicja minimalizmu, ale i rosła trwałość jego założeń.

Pierwotne wytyczne nurtu zakładały rezygnację z głębszego przesłania dzieła, sprzeciw wobec malarskiej ekspresji, dążenie do zupełnego obiektywizmu i prostoty, a także redukcję symboliki, kolorystyki oraz perspektywy. W duchu tych jasno określonych reguł tworzyli m.in. Frank Stella, którego cykl „Black Paintings”, czarne płótna podzielone cienkimi liniami, uważany jest za swoisty manifest minimalistów, Sol LeWitt, twórca opartych na zasadach logiki przestrzennych struktur, czy też rzeźbiarze – Carl Andre i Tony Smith, słynący z nieskomplikowanych, industrialnych obiektów. Z biegiem czasu te

założenia przestały być restrykcyjne i jednoznaczne, jednak – a raczej: dzięki czemu – minimalizm pozostaje dla współczesnych istotnym punktem odniesienia, widocznym nawet pomimo wykorzystywania różnych technik i koncepcji plastycznych.

Andrew Sendor za pomocą swoich prac stara się zaprzeczyć logice sporu toczącego się między malarstwem a fotografią jako konkurencyjnym sposobem utrwalania rzeczywistości. W tym celu jego hiperrealistyczne obrazy, przedstawiające wyimaginowane instalacje prezentowane na nieistniejących wystawach, w obrębie obrazu olejnego skupiają także cyfrowe, rozpixselowane i zdigitalizowane formy. Minimalizm okazuje się być bardzo bliski autorowi ze względu na stosowaną przez niego kolorystykę, która obejmuje biel i czerń, tak często obecne w dziełach tego nurtu. Ten barwny dualizm wywodził się z przekonania minimalistów o konieczności pozbawienia twórczości indywidualnych właściwości, uczuć i wrażeń autora, aby dzieło mogło mówić samo o sobie.



Obrazy Sendora zdają się milcząco i sennie trwać w pewnego rodzaju emocjonalnej obojętności, bez pretensji do jakichkolwiek interpretacji.

Inny rodzaj współczesnej formy minimalizmu kolorystycznego można zaobserwować w malarstwie Jacka Sikory, artysty zafascynowanego błękitem i wszelkimi jego odcieniami. Źródłem monochromatyzmu on sam upatruje w długich tygodniach spędzonych w zasypanej śniegiem tajdze. Niebieskie przedstawienia twarzy i ciał, których bogactwo odcieni obejmuje zarówno ciemne, granatowe tonacje, jak i zbliżone niemal do bieli błękity, nawiązują do gry światła i cieni charakteryzującej zimny, syberyjski pejzaż. Malarstwo Sikory jest również zbieżne z założeniami minimalistów. Jak sam powiedział w wywiadzie dla „Rynku i sztuki”: „Nie maluję emocji. Najchętniej powiedziałbym, że maluję pustkę, ale przez tysiąclecia próbowano ją namalować i wciąż jest to nieosiągalne zamierzenie”.

Po bardziej urozmaiconą paletę barw, aczkolwiek również oscylującą wokół odcieni bliskich bieli, czerni, błękitów i szarości, sięga Kristina Alisauskaite. Inspiruje ją przede wszystkim minimalizm formalny. Artystka ma tendencję do wkomponowywania w surowy pejzaż ascetycznych figur, które niemal nikną na rozległym tle płótna. Konfrontacja niewielkich postaci i przedmiotów z nieograniczoną dostępnością im na obrazie przestrzeni wydaje się reprezentacją pustki, osamotnienia i tęsknoty autorki. Sugestywne przedstawienia zastygłych momentów rzeczywistości ukazywane są przez artyst-



kę za pomocą niezwykle oszczędnych środków wyrazu, ale w przeciwieństwie do prac czołowych przedstawicieli rewolucyjnego nurtu jej lakoniczne realizacje pozostawiają widzowi duży margines swobody interpretacyjnej.

Przykładem zaczerpniętej od minimalistów redukcji symboliki we współczesnej sztuce jest z kolei pejzażowe malarstwo Roberta Motelskiego. Autor pozbawionych perspektywy oraz ascetycznych pod względem palety obrazów nawiązuje również do pozostałych założeń nurtu, dotyczących kolorystyki i kompozycji, jednakże to właśnie brak pretensji do lokowania metaforycznego znaczenia w treści dzieła uderza najbardziej. Krajobrazy w wydaniu Motelskiego są wyłącznie tym, czym są – przedstawieniami drzew, liści, trzciny, czy wody. Nie skłaniają odbiorcy do poszukiwania w nich ukrytych przenośni. Odżegnują się od bycia obrazami-symbolami. W swojej oszczędnej estetyce malarstwo Motelskiego ma za zadanie pełnić wyłącz-

nie funkcję odzwierciedlania subiektywnie postrzeganej rzeczywistości, nie rosząc sobie jednocześnie prawa do odnajdywania w nim mnogości znaczeń oraz głębokich interpretacji.

Choć od wystawy „Primary Structures”, która odbyła się w Jewish Museum w Nowym Jorku w 1966 roku – momentu przełomowego dla formowania się prądu oraz jego zaistnienia w oficjalnym dyskursie o współczesnej sztuce – minęło już pół wieku, wpływy minimalizmu są nadal wyraźnie obecne: Sendor w czarno-białych realizacjach bezpośrednio odwołuje się do minimalistycznych tradycji, zupełnie pozbawiając swoje prace emocjonalności, Sikora zaś korzysta z monochromatyzmu jako metody ukazania gry światła, gdy Alisauksaite koncentruje się na jednej figurze przedstawienia, by uzyskać spójność kompozycji, Motelski redukuje symbolikę w swoich pozbawionych perspektywy pejzażach o dualistycznej palecie, pozwalając im pełnić wyłącznie funkcję obrazowania. Pomimo stosowania różnorodnych środków ekspresji obrazy każdego z artystów wyróżnia pewien rodzaj nieokreślonej sterylności, objawiającej się precyzją wykonania oraz pełnym namysłem wypełnieniem obszaru płótna. Przywodzą na myśl skojarzenia ze spokojem, ciszą i medytacją. I przypominają o przemożnym wpływie minimalizmu na współczesną twórczość. 🌀

ANNA NOWICKA

Studentka V roku historii sztuki, interesuje się sztuką po 1945 roku, szczególnie polskim malarstwem współczesnym. Współpracowała z portalem rynekisztuka.pl, pisze dla magazynów artystycznych i lifestyle'owych.

KAROLINA NIEDZIELSKA

Graficzka, ilustratorka, magister sztuki. Mówią, że „interesuje ją tylko moda, a szkoda”. Ilustruje, wycina, porusza. Nie lubi o sobie pisać, woli się popisywać.



HYGGE REVISITED – SPOJRZENIE NA DANIE

KAŚKA NOWACKA | ANNA ŁAZOWSKA

Międzynarodowa ekscytacja duńskim terminem *hygge* i medialny szal wokół skandynawskiego stylu życia, który ma rzekomo stanowić odpowiedź na wszystkie nasze problemy, skierowały ostatnio uwagę publiczną w stronę północnej krainy wiecznej szczęśliwości. Mnie w tym wszystkim odrobinę żal Holendrów, bowiem ich pojęcie *gezelligheid* jest właściwie identyczne znaczeniowo. Cóż, ewidentnie Królestwo Niderlandów ma znacznie gorszy PR i to Dania, ze skromnymi niespełna 6 milionami obywateli, podbiła świat swoją retoryką szczęścia.

Tak się złożyło, że w czasie wysypu tego trendu i wchłaniania go przez całą cywilizację zachodnią mieszkałam akurat w Danii – nagle, pewnego jesiennego tygodnia,

znajomi zaczęli zasypywać mnie wiadomościami z linkami do rozmaitych artykułów, pytając, czy „to całe *hygge* to prawda”. Nawet moja babcia zadzwoniła podekscytowana, żeby przedyskutować ten temat na skajpie. *It's official*: wszyscy zwariowali. Miliony ludzi zakochały się w koncepcie, którego nigdy na żywo nie doświadczyli i którego nazwy nie potrafią nawet poprawnie wymówić.

HYGGELANDIA

Przypomnę naprędce, czym jest *hygge*, chociaż po ukazaniu się ostatnio w polskim tłumaczeniu aż dwóch książek na ten temat (*Hygge. Duńska sztuka szczęścia* Marie Tourell Soderberg oraz *Hygge. Klucz do szczęścia* Meika Wikinga – ta ostatnia rozeszła się już w ponad milionie egzemplarzy na całym świecie, a w polskich księgarniach





WŁAŚCIWIE WSZYSTKO ŁAPIE SIĘ W KATEGORIĘ HYGGE, CHODZI BOWIEM O TO, JAK I Z KIM SPĘDZAMY CZAS I CZY DZIĘKI TEMU DOBRZE NAM W ŻYCIU

obie od kilku tygodni utrzymują się na szczycie pólek z bestsellerami) oraz powodzi artykułów i wywiadów, od np. „Newsweeka”, „Wyborczej” i „Na Temat” po blogi i media społecznościowe, większości już to egzotyczne określenie jest pewnie mniej lub bardziej znane. *Hygge* tłumaczy się zwykle na angielski jako *coziness*, „przytulność”, ale jest to duże uproszczenie, wynikające z braku odpowiedniego terminu w większości języków (Holendrzy i Norwegowie górą!). Określenie to opisuje sytuację pełną ciepła i komfortu, przyjemnie spędzony czas, miłą atmosferę. *Hyggelig* (forma przymiotnikowa) może być więc przytulne domowe wnętrze, ale również obiad z przyjaciółmi albo czytanie książki pod kocem z kubkiem parującej herbaty w ręce. Pojęcie to wiąże się z dostrzeganiem uroku prostych rzeczy, tworzeniem wokół siebie miłej atmosfery, spędzaniem czasu z rodziną i przyjaciółmi.

Najbardziej powierzchowną formą z nim kojarzoną jest wystrój wnętrz i ciepło. Na scenę wjeżdżają więc świeczki (wszędzie, mnóstwo!), poduszki, koce, ogień w kominku, przygaszone światło i inne tego typu atrakcje. Chociaż Polakom minimalistyczny skandynawski design i białe wnętrza niespecjalnie będą się pewnie kojarzyć z przytulnym domostwem, Duńczycy, łącząc jasne barwy z elementami rustykalnymi i, o zgrozo, trofeami myśliwskimi, zdają się aranżować przestrzenie, które są *super hyggelig*. Osobiście wolałabym co prawda, żeby którąś z części mieszkania dało się rozświetlić na tyle, aby dało się np. coś przeczytać czy przyszyć guzik, ale – jak widać – nastrój nade wszystko.

Ostatecznie jednak bardziej od przedmiotów liczy się klimat i miłe towarzystwo, więc w *hygge*, mimo wspomniania się świeczkami, chodzi bardziej o „przytulne” sytuacje i czas spędzany z ludźmi, których kochamy; o poczucie bezpieczeństwa i komfort psychiczny. W zimie wspólny gorący posiłek czy kubek świątecznego *gløgg*, w lecie piknik na trawie albo przejażdżka rowerowa. Właściwie wszystko łapie się w kategorię *hygge*, chodzi bowiem o to, jak i z kim spędzamy czas i czy dzięki temu dobrze nam w życiu, a przynajmniej w danej chwili (choć w Danii każdy jest szczęśliwy 24/7 – raj!). Pozy-

tywnym aspektem tego terminu czy, jak wolą niektórzy, filozofii jest pracowanie nad własnym podejściem do życia, by widzieć pozytywne strony danej sytuacji. Pogoda może i jest paskudna, ale mogę dzięki temu ubrać mój najukochańszy ciepły szalik i piękne rękawiczki, które dostałam od mamy. Może i zmokłam na rowerze, ale zaraz napiję się przecież pysznej kawy z przyjaciółką i przyjemnie spędzę resztę popołudnia.

To rzeczywiście bardzo fajne i optymistyczne nastawienie, nad którym Polacy na pewno mogliby odrobinę popracować. Zaletą jest też zasada nieporównywania się do innych oraz bycia „tu i teraz” – obie przekładają się chociażby na bardzo ograniczone używanie smartfonów, mediów społecznościowych itp. w czasie spotkań z rodziną i przyjaciółmi. I chociaż tę zasadę można by równie dobrze wyprowadzić, zwyczajnie, z zasad dobrego wychowania, to chwali się ona Duńczykom.

Właściwie to bardzo ciekawe, że najlepszym skandynawskim produktem eksportowym okazała się atmosfere-

ra; *hygge* uznane zostało za termin roku przez zarówno Oxford, jak i Collins Dictionary, a w Wielkiej Brytanii wydawcy wręcz biją się o duńską przytulność – ostatnio ukazało się tam już około 10 książek na ten temat. Cały ten medialny hajp nie jest już specjalnie *hyggelig*, zamieniając się w przemysł popkulturowy, bezlitośnie uproszczając duński koncept i zamieniając go w chwyt reklamowy do sprzedaży koców, skarpetek czy świeczek.

Dla mnie *hygge* to osobliwy temat zastępczy i wolałabym porozmawiać na poważnie o tym, co Dania ma naprawdę do zaoferowania swoim obywatelom i co jest charakterystyczne dla kultury tego kraju. Chociaż poczucie wyższości i przekonanie o cywilizacyjnej przewadze państwa to jedna z wyraźniejszych cech Duńczyków, więc jeśli mogą skolonizować świat za pomocą *hygge*, to na pewno w to im graj!

DANIA AWERS

Dania co roku konsekwentnie trafia na szczyt zestawień najszcześliwszych krajów świata i rzeczywiście kojarzy się trochę z państwem przyszłości zaludnionym przez obywateli idealnych: wykształconych, zdrowych, wysportowanych, zamożnych, usatysfakcjonowanych swoim życiem zawodowym i rodzinnym. W tym wrażeniu perfekcji jest sporo prawdy: społeczeństwo ma zapewnione doskonałe warunki do życia i samorozwoju, dzięki czemu z łatwością dąży do opisanego wyżej ideału.

Chociaż przyrost naturalny nie rośnie drastycznie, to jednak ciągle jest dodatni – atrakcyjne warunki socjalne sprawiają, że ludzie nie boją się decydować na powiększenie rodziny i nie stanowi to dla nich ryzyka finansowego. Każdy student dostaje od państwa stypendium w wysokości ok. 800€ miesięcznie za sam fakt uczęszczania na zajęcia, a „studencka praca” (to oficjalny termin) zajmuje maksymalnie 20 godzin tygodniowo. Dzięki temu młodzi ludzie mają czas i pieniądze na naukę i szukanie własnej drogi życiowej. Dodatkowo wszyscy od dziecka z pełną biegłością posługują się angielskim, a potem często uczą się kolejnych języków. Koszty życia są spore, ale zarobki odpowiednio wysokie, więc niezależnie od wykonywanej profesji Duńczycy pozwalają sobie na częste podróże – zarówno inżynier, jak i nauczyciel czy handlowiec

odbywają zwykle kilka zagranicznych wycieczek rocznie i nie mówimy tutaj oczywiście o weekendzie w sąsiedniej Szwecji, ale raczej o wypadach do Chin, Kanady czy Meksyku. Tydzień pracy to 37 godzin, co nie jest zresztą zbyt restrykcyjnie przestrzegane, często siedzi się w biurze góra 6-7 godzin dziennie, nie ma problemu ze zwolnieniem się, jeśli trzeba coś „załatwić na mieście”. Nikt się nie przepracowuje, a ludzie mają mnóstwo czasu dla rodziny czy na uprawianie sportów lub inne zajęcia dodatkowe.

Dania spodoba się na pewno również wszystkim, którym zależy na środowisku. Podczas gdy Polska chwali się swoim węglowym potencjałem, wyspiarskie królestwo jest w stanie funkcjonować cały dzień w oparciu o 100% odnawialnych źródeł energii. Jest też przodownikiem walki z marnowaniem jedzenia – od 2010 roku Dania zredukowała straty żywności o 25%, a niedawno rząd zaczął wspierać finansowo inicjatywy dążące do dalszej poprawy tej sytuacji. Co więcej, sprzedaż przeterminowanych produktów jest tam legalna (pod warunkiem, że są one w dobrym stanie i odpowiednio opisane) – np. w Kopenhadze działają już dwa oddziały sklepu Wefood, który sprzedaje za pół (lub mniej) ceny przeterminowane, ale ciągle zdatne do spożycia produkty, odebrane uprzednio przez wolontariuszy ze sklepów, supermarketów, hurtowni i od rozmaitych darczyńców. W efekcie nigdy nie wiadomo, co będzie można tam kupić, wszystko zależy bowiem od przypadkowych dostaw, ale nie umniejsza to popularności sklepu. Zyski z handlu zostają przekazane na cele charytatywne.

W stolicy dość popularny jest również *dumpster diving*, czyli bardziej hardkorowa wersja odzyskiwania dobrego jedzenia ze śmietników, oraz odbieranie i zjadanie produktów czy nawet gotowych potraw, które po zamknięciu wydają restauracje, łącznie z tymi, które mogą pochwalić się gwiazdkami Michelina. Żywność zbierają i rozdają też samoorganizujące się grupki zapaleńców, jak *Foodsha-*

ring Copenhagen, ekipa, która zaczęła swoją działalność w maju i od tej pory ocaliła już ponad 20 ton żywności. Początkowo było to kilka osób, które swoim rozpadającym się vanem odbierały ze sklepów tyle zbywających produktów, ile mogli udźwignąć, obecnie mają własną siedzibę w starych magazynach w Valby (jedna z dzielnic Kopenhagi). To zresztą efekt innego interesującego projektu – za około 5 lat w miejscu kompleksu wybudowane zostaną nowoczesne apartamentowce, ale do tego czasu właściciel udostępnia ten teren pod lokalne inicjatywy. To typowa sytuacja *win-win*: małe organizacje mogą legalnie użytkować przestrzeń i rozwijać swoją działalność za bezcen (opłacają jedynie media), natomiast jeśli goszczące tam inicjatywy staną się popularne, podbije to ceny przyszłych mieszkań.

W Danii żyje się też wygodnie, bo rozpieszcza nas świetna infrastruktura: wydajna sieć dróg i autostrad, drogie, ale wygodne i szybkie pociągi, zintegrowany system komunikacji, dzięki któremu możemy używać tej samej pre-paidowej karty w metrze w Kopenhadze, w autobusie w Århus i w pociągu w Esbjerg. Dojechanie 30km komunikacją (pod)miejską do centrum Kopenhagi zajmie mniej więcej tyle samo, co pokonanie 10km w Krakowie. Poza tym ścieżki rowerowe, kładki, parkingi, uprzywilejowanie pieszych i rowerzystów... To raj dla miłośników dwóch kółek (choć na pewno nie biją jeszcze pod tym względem Holendrów), co wynika z przekonania, że transport rowerowy to naturalne i codzienne rozwiązanie dla każdego, a nie tylko okazjonalna rekreacja czy walka o przeżycie w drodze do pracy.

Trafiając do Danii, znajdujemy się w mekce architektury i designu; najnowsze projekty naprawdę zapierają dech w piersi: są równocześnie funkcjonalne i nowatorskie, ale i dopasowane do otoczenia oraz po prostu piękne. Całe państwo, a w szczególności Kopenhaga, jest idealnym miejscem dla pasjonatów planowania urbanistycznego. Sama jestem wielką fanką tamtejszych mostów, by wspomnieć ten najbardziej znany nad Sundem (Øresundsbroen, 16-kilometrowe чудо, łączące Kopenhagę ze szwedzkim Malmö), ale również Storebæltsbroen (między Zelandią a Fionią) i Lillebæltsbroen (spinający Fionię i Półwysep Jutlandzki), a w Kopenhadze powstające w ciągu ostatnich kilku lat jak grzyby po deszczu nowoczesne kładki pieszo-rowerowe nad skomplikowaną siecią kanałów: otwartą w 2014 Cykelslangen, czyli „rowerowego węża”, czy Cirkelbroen („Kołowy most”) z 2015 roku. Wielkim wydarzeniem ostatniego półroczka stała się najnowsza kładka, łącząca Nyhavn, najstarszą część portową i najbardziej rozpoznawalny turystyczny punkt Kopenhagi, z Christianshavn (i Christianią). Przeprowadzając się nimi wszystkimi, będziemy mieli okazję podziwiać jedne z najpiękniejszych widoków w mieście. Nie mówiąc już oczywiście o wygodzie i o tym, ile czasu udaje się dziennie zaoszczędzić dzięki takim rozwiązaniom.

DANIA REWERS

Brzmi jak raj na Ziemi, prawda? Natchnieni architekci, którzy dojeżdżają do pracy na rowerach, robiąc po drodze zakupy w sklepie non-profit z przeterminowaną żywnością, by potem ugotować pyszny i zdrowy obiad dla swojej rodziny... gdzie jest haczyk?



**CAŁY TEN MEDIALNY HAJP BEZLITOŚNIE
UPRASZCZA DUŃSKI KONCEPT I ZAMIENIA
GO W CHWYT REKLAMOWY DO
SPRZEDAŻY KOCÓW, SKARPETEK CZY
ŚWIECZEK**

W jednym z wywiadów Meik Wiking na pytanie, co to znaczy być szczęśliwym jak Duńczyk, odpowiada: „To znaczy być szczęśliwym jak człowiek, bo niczym nie różnimy się od innych – te same czynniki powodują, że jesteśmy szczęśliwi. Tym, co może nas wyróżniać, jest fakt, że cieszymy się wysoką jakością życia, nawet jeżeli coś się stanie. Np. kiedy tracimy pracę, to wiele się nie zmienia, nasz poziom szczęścia nie spada. Nadal lubimy poruszać się rowerami albo, jak ja, pływać latem w porcie. Tak więc być szczęśliwym jak Duńczyk to czerpać szczęście z czynności, które nie powodują kosztów”. Pokazałam ten cytat już kilku osobom i wszystkim wydaje się tak absurdalny, że na przemian śmieją się do rozpuku albo sarkastycznie unoszą brwi.

Chociaż Dania to europejski kraj, który niespecjalnie kojarzy się z egzotyką, od Duńczyków dzieli nas kulturowa przepaść. Wydaje się, że pływające się w dobrobycie i oddzielone do tego od Europy barierą geograficzną państwo zupełnie straciło kontakt z rzeczywistością. Obserwowani przeze mnie Duńczycy mają zresztą ogromne poczucie wyższości nad innymi nacjami, a ich przechwałki zakrawają często o nacjonalizm. Kompleks małej powierzchni (dawniej sporego kraju) połączony ze świetnymi warunkami społeczno-ekonomicznymi zaowocowały przekonaniem o cywilizacyjnej dominacji. Choć muszę przyznać, że wszyscy traktowani są na równi, a imigranci trafiający do Kraju Wieprzowiny i Lukrecji mają zapewniony doskonały start – uprzejma obsługa i wydajne procesy urzędowe, kurs językowy, sympatia ze strony społeczeństwa itd. – to jest jednak i druga strona medalu: wszyscy możemy równo i solidarnie robić wspólne *hygge* w Danii, ale pod warunkiem, że przyjezdni zasymilują się z miejscową kulturą w 100%. Bo lokalna kultura jest *le p s z a*.

Jasne, do pewnej granicy, wyznaczonej oczywiście rozsądkiem, muszę się przystosować do rzeczywistości kraju, do którego się przeprowadzam. Zobowiązana jestem przestrzegać przepisów, staram się zrozumieć i stosować do miejscowych zwyczajów, by nikogo nie urazić, czy jak

najszybciej nauczyć się trochę języka. Zawsze niesiemy jednak w sobie pewne dziedzictwo kulturowo-historyczne i mamy własne tradycje, których nikt nie powinien nam odbierać – potrzebna jest odrobina przestrzeni na dialog kulturowy. W tolerancyjnej, idealnej Danii niestety takiej nie znajdziemy. Przekonani o swojej wyższości Duńczycy protekcjonalnym tonem tłumaczą przyjezdnym: „Robisz to źle – my w Danii robimy to tak; tak jest dużo lepiej” (trzeba usłyszeć ten ton na żywo!). W Kopenhadze współpracowałam z chińskimi artystami i nie zliczę nawet, ile razy, koordynując koncerty, słyszałam pobłażliwe, pasywno-agresywne komentarze w ich kierunku: „U nas w Europie...”, „My w Danii...”. Chociaż Duńczycy nie robią tego złośliwie i to nie jest tak, że prywatnie czują się lepsi od jakiejś konkretnej jednostki z innego kraju, to na poziomie edukacji, wychowania i pewnej narodowej retoryki poddani królowej Małgorzaty II po prostu *n i e r o z u m i e j a*.

Duńska bańka szczęśliwości skutkuje też antyunijnymi i separatystycznymi poglądami. Skoro u nas wszystko jest takie fantastyczne, to dlaczego mamy się tym dzielić z innymi, niech radzą sobie sami. Dlaczego mamy dawać 800€ miesięcznie studentowi z zagranicy. Dlaczego wszyscy muszą dostać od nas pełen państwowy pakiet; sami sobie na swój raj zapracowaliśmy, Unia nie będzie nam mówić, że musimy się swoim dobrobytem dzielić. Wetknijmy sobie więc gdzie się da milion duńskich flag i róbmy sobie *hygge* sami. Jasne, w skali światowej nie jest to odosobniony w tej chwili trend (choć żadne inne europejskie państwo nie praktykuje takiej flagmanii!), ale w przypadku idealnej Danii zakrawa to o osobliwą podwójną moralność.

Naprzeciw Duńczyka okaże się, jak wiele łączy $\frac{3}{4}$ europejskich narodów; w niezrozumieniu skandynawskich zwyczajów bliżej nam nagle do Hiszpanów, Francuzów, Anglików, Rumunów, niemalże do kogokolwiek. Mieszkańcy Danii są absolutnymi indywidualistami, skupionymi na sobie, samorozwoju, własnej rodzinie, jeśli na przyjaciół, to na takich, których znają od minimum

How to Hygge...

20 lat. Jeśli nie należymy do tych kategorii, zaszczyć nas jedynie uprzejmą kilkuminutową pogawędką, ale nie będą specjalnie zainteresowani podtrzymywaniem kontaktu. Pojęcie spontaniczności w Danii nie istnieje, nawet rodzeństwo umawia się z miesięcznym wyprzedzeniem; nie da się po prostu do kogoś wpaść albo wyskoczyć na kawę czy drinka, wcześniej tego nie planując. Duńczyk albo jest w pracy, albo gotuje obiad dla swojej rodziny, albo siedzi na siłowni, albo uczy się akurat nowego języka lub gry na jakimś instrumencie – jest absolutnie skupiony na swoim rozwoju, zewnętrznym i wewnętrznym, więc nie ma czasu na głupią kawę z przypadkową osobą albo na wyjście do kina, bo akurat zwinął się bilet. Jeśli jakimś cudem znajdziemy się u niego w domu, to koniecznie musimy zwinąć się wyraźnie przed 19 – w przeciwnym razie wyglądałoby, że wpraszamy się na obiad, co jest ciężką zniewagą i z takimi rzeczami trzeba być bardzo czujnym. Na nieformalne spotkania każdy przynosi alkohol i, uwaga, nie dzielimy się nim, tzn. nie przynosimy napojów w darze dla gospodarza, który potem rozporządza wszystkimi zasobami, ale pijemy to, co sami przynieśliśmy. Organizator natomiast nie ma w obowiązku niczego przygotowywać na domówkę. A jeśli coś przyszykuje, to się z nami z tego rozliczy. Możemy też zapomnieć o typowym dla nas: „Idę do baru, komuś coś?” – absolutnie się nie zdarza, żeby Duńczyk kupił nam piwo. Każdy płaci za siebie, bez żadnych wyjątków rozliczamy się co do korony. Dla większości cudzoziemców wywodzących się z krajów z silnym poczuciem wspólnoty i gościnności te wszystkie zwyczaje wydają się nieuprzejme i bardzo nie-hygge.

Kolejną przeszkodą dla ludzi wychowanych poza duńską bańką szczęścia jest kultura uni-



kania problemów. Bo skoro kraj funkcjonuje idealnie, wszystko jest doskonale zorganizowane, ludzie zadowoleni i praktykujący *hygge*, to co, jeśli pojawiają się problemy? Ale jakie problemy...? No właśnie. Kłopotów nie ma, z uśmiechem zamykamy je pod dywan, ignorujemy, za wszelką cenę utrzymujemy fasadę porządku i normalności, wszystko jest przecież *easy* i *hyggelig*. Duńczycy nie mają umiejętności reagowania kryzysowego, nie są ani elastyczni, ani kreatywni w radzeniu sobie z trudnościami. Wkładają całą swoją energię w unikanie problemów, zapobieganie im zawczasu, a jeśli jednak coś się stanie – ignorowanie ich. W środowisku pracy cudzoziemiec, który uważa, że coś jest nie w porządku i decyduje się o tym głośno mówić, by znaleźć jakieś rozwiązanie, jest z góry przegrany. Zgłaszasz problem – sam się nim stajesz. Porozmawiać można, wszak „każdy głos musi być usłyszany”, ale do niczego to nie zaprowadzi. Duńczycy nie pozwolą outsiderowi problemu rozwiązać i wdrożyć ulepszeń. Po pierwsze, ten problem przecież w ogóle nie istnieje, a po drugie: „Bo my w Danii...”

„Filozofia” *hygge* jest więc ostatecznie w moim odczuciu czymś zupełnie oderwanym od realiów prawdziwego świata i wpisuje się w duńską propagandę państwa idealnego. Samym Duńczykom na pewno żyje się w tej oazie szczęśliwości świetnie, pytanie tylko, czy ta iluzja kiedyś nie runie. Jak nietrudno się zorientować z moich wywodów, jestem niezwykle daleka od zasymilowania się z tą kulturą, a chociaż z Duńczykami pracowałam, mieszkałam i wielu z nich prywatnie bardzo lubię, ostatecznie przyjaźniłam się z Belgijką, Francuzką, Włoszką i Australijką – umawiałyśmy się spontanicznie, nocowałyśmy u siebie i stawiałyśmy sobie nawzajem co tylko się da. Inna sprawa, że mam właśnie na sobie mój ulubiony gruby sweter w kolorze buraka i siedzę przy zapalanej świeczce, słuchając jazzu i pijąc kawę z kubka z jednorożcem. *Hyggelig!* ☺

KAŚKA NOWACKA

Krakuska, miastofilka, miłośniczka morza i żyraf, absolwentka filmoznawstwa. Interesuje się kulturą, podróżami i sportem. Ma słomiany zapal, ale dzięki temu ciągle się czegoś uczy.

ANNA ŁAZOWSKA

Absolwentka kierunku Grafika Warsztatowa na ASP w Łodzi. Na co dzień zajmuje się ilustracją i projektowaniem graficznym, w wolnym czasie tworzy smutne kolaże. Wiecznie poszukuje własnego, charakterystycznego stylu, ale wciąż nie może się zdecydować na jeden. Interesuje ją związek człowieka z naturą i ludzka psychika – jej najciemniejsze zakamarki, niedoskonałości, sprzeczności i walka z samym sobą. Marzy o napisaniu i zilustrowaniu własnej książki.





WIĘKSZY NIŻ W INNYCH MIASTACH

AGATA WIECZOROWSKA | BASIA GRZYBOWSKA

Olena (24 lata) waży 44 kilogramy i zawsze powtarza, że to biblijna waga. Nie jest wysoka, ale z taką figurą i idealnie symetryczną twarzą pracuje jako modelka w jednej z agencji w Warszawie. Po studiach najpierw wyjechała do Gdańska, ale tam nie znalazła ani dużo znajomych, ani męża, przeprowadziła się więc do stolicy. Do Krakowa przyjeżdża do rodziców, mieszkają na Batorego i za nią tęsknią.

– Pracuję w Wilanowie, a warszawskie hipsterstwo mi służy – śmieje się, poprawiając szalik w jamniki. Na spotkanie przychodzi nieumalowana i z włosami niedbale zebranymi w luźny węzeł tuż nad szyją, ale może sobie na to pozwolić. Na cerę, komentuje, co prawda, najlepsza była gdańska bryza i jodowane powietrze, ale tam nie było ani ludzi, żeby wyjść wieczorem, ani perspektyw zawodowych na przyszłość. W Warszawie jest za to dużo salonów



Olena, 24 lata

odnowy biologicznej i spa, a w niektórych dzielnicach więcej drogerii niż znaków drogowych. Kraków jest wykluczony, tutaj cera staje się ziemista i ciężko zatuszować cienie pod oczami. Oczywiście, jest tu większy niż w innych miastach.

PAULINA, 28 LAT

– Pracuję w Banana Services. Zarábiam więcej netto niż moje koleżanki brutto, ale nie mogę ścierpieć ani tej pracy, ani ludzi którzy tu pracują. Od Nowego Roku idę po podwyżkę, a jak jej nie dostanę do marca, to odchodzę. Urodziłam się w Wieliczce, a do Krakowa przeprowadziłam w wieku 7 lat i nie chcę się stąd przenosić. Są tu niższe koszty życia niż w Warszawie i nieźle zarobki, jak je sobie dobrze wynegocjujesz na starcie. A jak zgadza się hajs, zgadza się cała reszta. Samochodu potrzebuję, bo raz, że to symbol statusu, a dwa, że często odwiedzam rodziców w Wieliczce. Kiedy spotykam się ze znajomymi w centrum, lubię potem odwozić tych, którzy mieszkają na trasie do mojego mieszkania, żeby się trochę popisać, jakie mam fajne auto, jak sprawnie parkuję i że radio ma mocne basy. Wiem, że spaliny samochodowe zwiększają zanieczyszczenie, ale jedno Tico niczego nie zmieni. Podobno jest tu większy niż w innych miastach, ale i tak wolę mieszkać tu niż w Wieliczce.

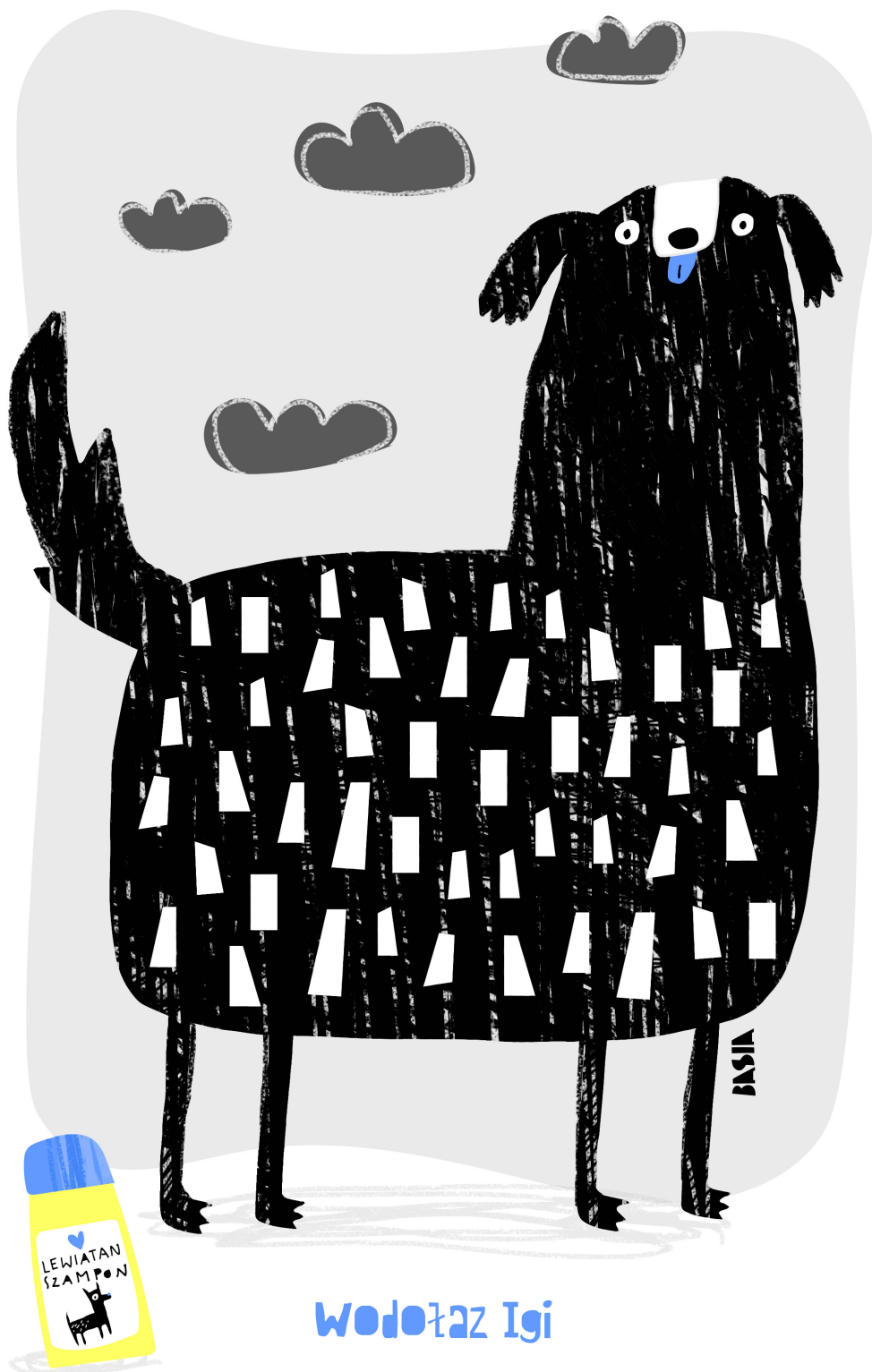
IGA, 31 LAT

– Wspinam się, kiedy mogę. Nie po korporacyjnej drabinie (śmiech), ale w skałach. Wspinam się od jakichś 15 lat. Tak poznałam swojego chłopaka i większość przyjaciół.

Mam mało niewspinających się znajomych, a ci, co się nie wspinają, zawsze mogą z nami skoczyć za Zakrzówek albo pod Kraków, do Doliny Mnikowskiej, popatrzyć. Nasz pies często też z nami jeździ na wspin, tzn. my się wspinaamy, a ona biega do upadłego z językiem na wierzchu i wiatrem w uszach. Mieszkamy w centrum Krakowa, przy Placu Na Stawach. Kiedy wieczorami wyprowadzamy wodołaza na spacer, jej futro potem pachnie jakby całą noc siedziała w klubie dla palących, a sierść często ciemnieje i zbija się w strąki. Zimą często kąpiemy ją więc w psim szamponie z Lewiatana, szczególnie, że sypia z nami w łóżku. Tak, zdecydowanie jest tu większy niż w innych miastach, nawet po psie widać.

JULIA, 24 LATA

– Studiuję wzornictwo na Akademii Sztuk Pięknych. W tym semestrze projektujemy np. wzory na płytki ceramiczne do kuchni i robimy opakowania na rakiety pingpongowe. Mój wydział jest zaraz przy ulicy Smoleńsk. To tutaj, gdzie przy bramie stoi grupka studentów w chmurce ze szluga (śmiech). Poza uczelnią uczę się tańca orientalnego, czyli tak zwanego tańca brzucha. Ale to myśląc nazwa, bo nie tańczysz brzuchem, tylko miednicą. Szkoła mieści się w dzielnicy domków jednorodzinnych, w dużej piwnicy ozdobionej figurkami wielbłądów i dywanami z Kairu. Poza arabską muzyką mamy też aleksandryjskie kadzidelka, więc często robi się duszno,



Wodołaz Igi

kiedy ćwiczymy. Staramy się jednak nie otwierać okna, bo palą w tych domkach i cały gryzący dym wpłza nam do sali. Wiem, że jest większy niż w innych miastach. Planuję dokończyć studia i szybko się wyprowadzić.

KINGA, 47 LAT

– Pracuję w małej galerii sztuki na Zabłociu – opowiada Kinga. Oczy ma pomalowane dwoma różnymi cieniami do powiek, a do wełnianej sukienki nałożyła dziś rozkłoszowane dzwony. Do Krakowa przyjechała z Wrocławia, a do pracy rowerem. Odwija się z fioletowego szala i rozpina na ustach uśmiech jak do klienta. – Jestem wegetarianką od 30 lat, drugie tyle pracowałam z obrazami. Najpierw swoimi, potem wybitnymi – uśmiech czasem gasi jej smuga jagodowej pomadki na zębach. – Nie, absolutnie nie uważam, że miałby być większy niż w innych miastach, niby czemu. Tu mi dobrze, tu kupuję mieszkanie i mam już sprawdzone łachmaniaki [tak nazywa *second handy*]. Na rowerze planuję jeździć co najmniej do końca listopada, chociaż dzwony wpłutują mi się w szprychy.

KRAKÓW, 2016

W Krakowie smog jest większy niż w innych miastach. Statystycznie jest tu ponad 150 dni smogowych w roku. Ponad 60 procent cięż kończy się poronieniem, a dzieci rodzą się zauważalnie mniejsze. Częściej zapadają też na astmę, zapalenie płuc, tchawicy czy oskrzeli. Ryzyko zachorowania na raka czy chorobę wieńcową także jest tu większe. Mieszkając w Krakowie, wypala się około 130 paczek papierosów w ciągu roku, czyli ponad 10 paczek miesięcznie. Przedszkolaki w dni, kiedy są rekordowo wysokie stężenia, potrafią spędzać po 3-4 godziny na placu zabaw, bo świadomość społeczna jest dużo niższa niż zawartość pyłów w powietrzu.

KRAKÓW, 2016+

Olena będzie miała coraz więcej kontraktów międzynarodowych, co rano będzie ćwiczyła przed lustrem *selfie*, żeby na wiosnę trafić na okładkę „Joya”. Do Krakowa będzie przyjeżdżała dwa razy w roku, na święta. Jesienią Paulina dostanie ofertę w Warszawie za dwa razy wyższą stawkę niż jej narzeczony. Odda pierścionek, spakuje pięć walizek i przeprowadzi się na Powiśle. Iga wyjedzie na roczny wolontariat do Rumunii. Będzie uczyć dzieci angielskiego, a w weekendy wspinać się w Górach Fagarskich. Wodolaz będzie w tym czasie u jej rodziców w Lublinie, nie będzie pachniał ani smogiem, ani psim szamponem z Lewiatana. Julia skończy projektować płytki, zdobędzie certyfikat instruktorki tańca arabskiego i wyjedzie do Kairu. Kinga połapie się w istnieniu smogu, kiedy jej ulubiona malarka zacznie inspirować się zanieczyszczeniem powietrza. Wróci do Wrocławia TLK z wagonem rowerowym i stamtąd będzie prowadziła inną galerię sztuki. Smog tymczasem zostanie. 🌫️

AGATA WIECZOROWSKA

Filolog języków obcych (angielski) i bardzo obcych (portugalski i rumuński). Pochodzi z Zielonych Płuc Polski. Na studia przeprowadziła się do Krakowa. Pracuje w korporacji, w wolnym czasie czyta *Muminki* i prowadzi blog: kaluzapelnamirabelek.wordpress.com.

BASIA GRZYBOWSKA

Absolwentka ASP w Katowicach. Od dwóch lat mieszka i tworzy ilustracje w Brazylii. Wystawiała swoje prace indywidualnie oraz na ekspozycjach zbiorowych i festiwalach międzynarodowych (m.in. w Londynie, São Paulo, Wiedniu i w Katowicach). Jej ilustracje to podróz pomiędzy kolorami, kształtami i radością. Kocha kawę, bajgle i beagle. Więcej o niej w jej ilustracjach: basiailustration.com (niepotrzebne skreślić).



Kraków, 2016+



ZATRZYMAĆ WIELKOLUDA

ŁUKASZ MUNIOWSKI | MARIUSZ HOŁOD

„Nie można nauczyć wzrostu” – miał powiedzieć Red Auerbach, legendarny trener, generalny menadżer, a potem prezes Boston Celtics. Chociaż nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy to on był ich autorem, trudno o lepsze uzasadnienie ciągłego pokładania nadziei w wysokich zawodnikach przez drużyny NBA. Co jak co, ale facet znał się na wygrywaniu jak nikt w historii ligi: 16 mistrzowskich pierścieni miłośnika cygar i chińszczyzny było przeważającym argumentem w każdej dyskusji.

Co sezon sześćdziesięciu szczęściarzy trafia do ligi w tak zwanym „drafcie” – wszystkie drużyny z NBA w dwóch rundach wybierają najbardziej obiecujących graczy z lig akademickich i światowych. Najgorsze wybierają pierwsze, dzięki czemu mogą najbardziej się wzmocnić – im wyższy numer w drafcie, tym lepiej. Wskutek przeświadczenia o prawdziwości maksymy Auerbacha z pierwszym numerem trafili do NBA tacy gracze jak LaRue Martin (1972; 211 cm), Pervis Ellison (1989; 206 cm), Michael Olowokandi (1998; 213 cm) czy Kwame Brown (2001;

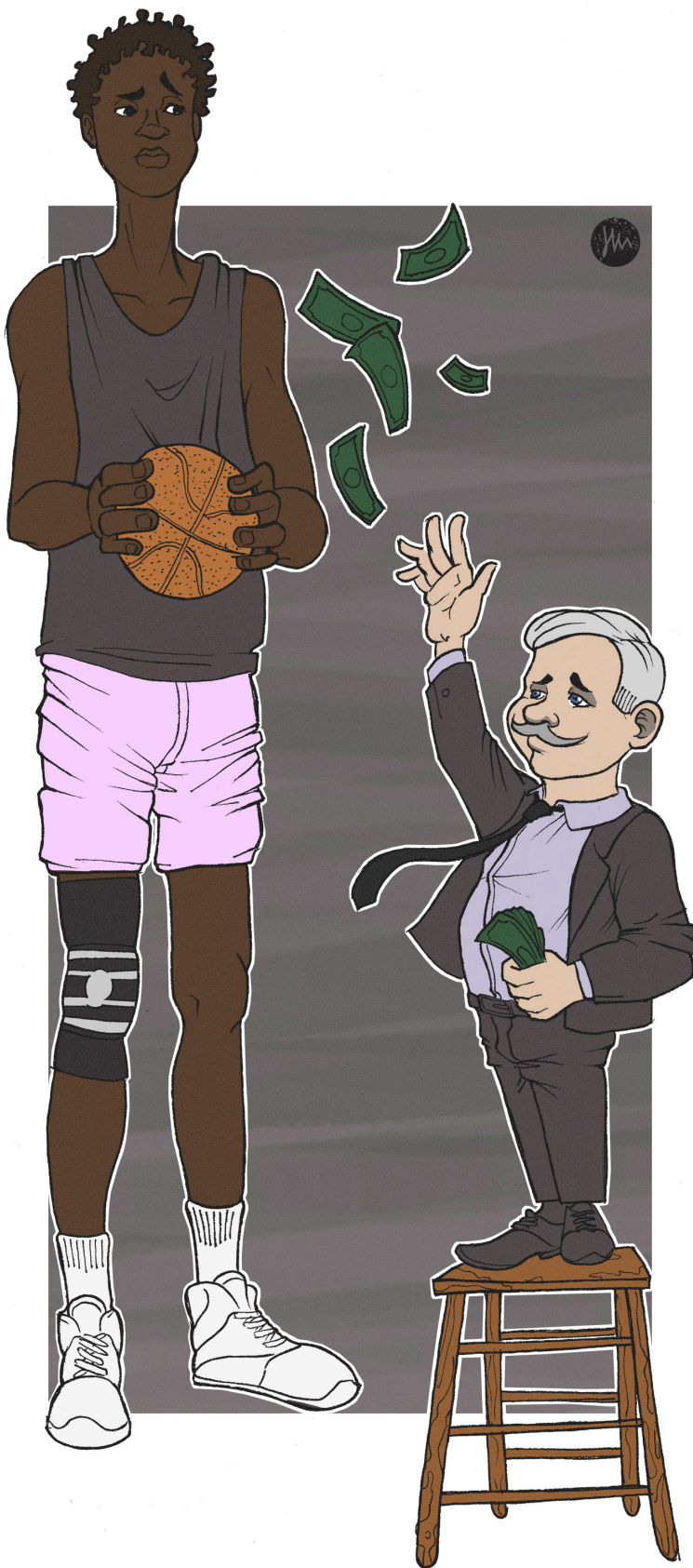
211 cm) – czwórka, która pojawia się praktycznie w każdym rankingu najgorszych „jedynek” w historii draftu. Jednak jeśli już kogoś trzeba brzydko wskazać palcem, powinni to być menadżerowie dokonujący wyboru. Wyposażeni w odpowiednio duży palec moglibyśmy zaś oskarżyć o zaistniałą sytuację całą koszykarską kulturę, która wyniosła centra na piedestał, choć wyższy nie zawsze znaczy lepszy.

Center, jak sama nazwa wskazuje, powinien być centralnym punktem drużyny, jej ostoją nie tylko w defensywie, lecz także w ataku. Dobry środkowy blokuje i zbiera, a wybitny potrafi jeszcze zdobyć po kilkanaście punktów na mecz, dysponując arsenałem wsadów, lay-upów, haków, floaterów czy rzutów z odchylenia. W słynnym przemówieniu w filmie *Męska gra* (1999, Oliver Stone) grany przez Alę Pacino Tony D’Amato wyjaśnia istotę futbolu amerykańskiego i życia w ogóle: chodzi o całe. Podobnie rzecz się ma z koszykówką – im więcej cali, tym większa szansa na profesjonalną karierę. Nawet podczas podwórkowych meczów kapitanowie wybierający skład szybko

sięgają po wysokiego, mimo że często gamoniowatego gracza, a biedny Muggsy Bouges (158 cm, najniższy gracz w historii NBA) musi czekać na swoją kolej.

O ile na podwórku sam wzrost wystarcza, w profesjonalnej koszykówce center musi mieć jeszcze masę. Bo cóż z tego, że Shawn Bradley mierzył 229 centymetrów, jeśli niższy od niego o ponad 20 centymetrów Alonzo Mourning w pojedynkach z nim notował o 5 punktów więcej, zaliczając tyle samo bloków i asyst. Bradley miał zresztą szczególnego pecha – jego wysoki wzrost i równie wysoki wybór w drafcie (drugi w 1993 roku) uczyniły z niego obiekt żartów, a także cel w nieformalnej konkurencji, którą można podsumować słowami: „kto nie zapakuje na Bradleyu, ten trąba”. Wysoki środkowy zdołał jednak utrzymać się w lidze przez dwanaście sezonów, co przy ilości meczów i minut spędzonych na parkiecie można uznać za jego największy sukces. Drugim była rola w filmie *Kosmiczny mecz* (1997, Joe Pytką). Innych nie odnotowano.

Zdrowie to czynnik, którego szczególnie brakuje środkowym. Mierzący 2 centymetry więcej niż Bradley Rumun Gheorghe Mureșan musiał przedwcześnie zakończyć karierę z powodu kłopotów z przysadką mózgową. Uciskający przysadkę guz przyczynił się do ogromnego wzrostu koszykarza. Poza tym center przyznał, że jednym z najtrudniejszych rywali, z którymi musiał się mierzyć, był Shaquille O’Neal (216 cm). Środkowy Orlando Magic i Los Angeles Lakers sprawiał, że barki Mureșana były obolałe jeszcze 2 dni po meczu. To właśnie masa pozwalała Mourningowi i O’Nealowi dominować pod koszem nad wyższymi zawodnikami. Nie każdy szkielet i nie każdy organizm jest przystosowany do noszenia tylu kilogramów, tak jak nie każdy przystosowany jest do rozgrywania co sezon 82 meczów na najwyższym poziomie.

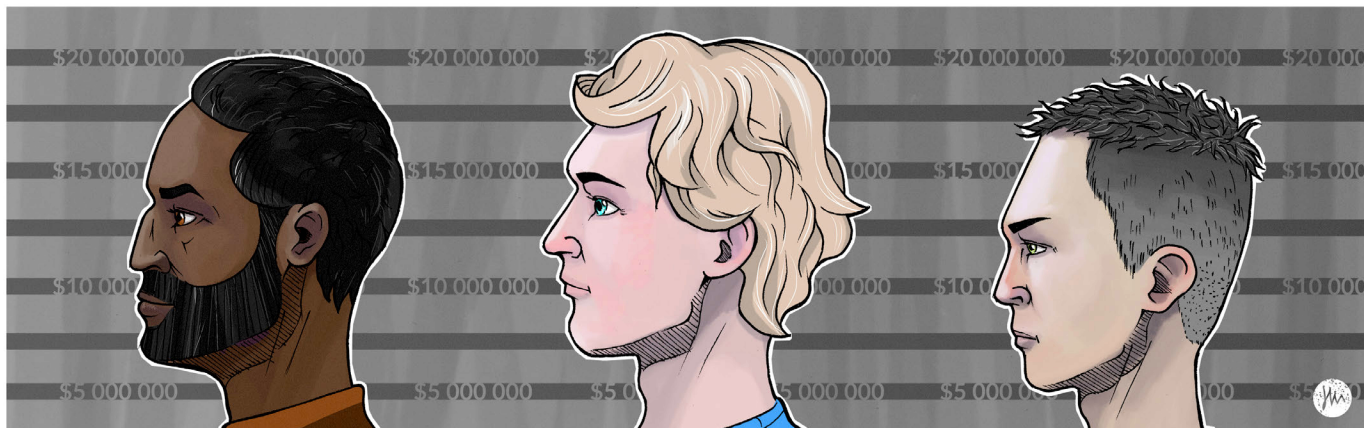


Przykładem niech będzie kolega O'Neala z czasów uniwersyteckich, Stanley Roberts (213 cm), znany jako „Big Garbage”. To przykład utalentowanego koszykarza, który roztrwoniał swój potencjał. Lenistwo, rozrzutność i problemy z używkami to jednak tylko jedna strona medalu. W Orlando Magic problemy ze ścięgnem Achillesa ograniczyły go do 55 meczów. 10 punktów i 6 zbiórek przez 20 minut to średnie, które obecnie pozwoliłyby Robertsowi załapać się do pierwszej piętnastki najlepszych środkowych w lidze, ale wtedy od centrów oczekiwano więcej. Po jednym sezonie – i wyborze O'Neala w drafcie – Magic pozbyli się gracza. W trakcie drugiego sezonu w NBA znów złapał kontuzję i do pełnego zdrowia wrócił dopiero po dwóch latach, w 1995 roku.

Były środkowy Magic i Clippers nie prowadził się najlepiej, ale nawet bycie okazem zdrowia nie chroni przed urazami, czego dobrym przykładem jest Greg Oden (213 cm). W sezonie zasadniczym każda drużyna rozgrywa 82 mecze. Właśnie tyle w barwach Portland Trail Blazers rozegrał Oden. Problem polegał na tym, że potrzebował na to czterech sezonów. Ze względu na kontuzje kolan dobrze zapowiadający się środkowy od paru lat jest poza poważną koszykówką. Blazers nie mają zresztą szczęścia do środkowych wybieranych z wysokimi numerami w drafcie. LaRue Martin nigdy nie zaliczał więcej niż 7 punktów na mecz. Wybranego w 1974 Billa Waltona (211 cm) trudno nazwać chybioną decyzją – zdominował NCAA, trzykrotnie zdobywając tytuł najlepszego gracza uniwersyteckiego na UCLA, a po dwóch pierwszych sezonach (naznaczonych przez kontuzje) doprowadził Blazers do jedyne w historii klubu mistrzostwa NBA (1977). Potem jednak znów dały o sobie znać kłopoty ze zdrowiem – złamana stopa, problemy z kostkami i kręgosłupem. Doszło do tego, że przez 3 lata nie grał profesjonalnie w koszykówkę. Odrodził się dopiero jako rezerwowy Boston Celtics.

10 lat później, w drafcie 1984 roku, drużyna wybierała jako druga. Wybierający przed nimi Houston Rockets sięgnęli po gwiazdę lokalnego uniwersytetu, Hakeema Olajuwona (213 cm). Blazers zaryzykowali, wybierając Sama Bowiego (216 cm), którego przedłożyli ponad Michaela Jordana (198 cm, wybrany z trzecim numerem draftu przez Chicago Bulls). Świetnie zapowiadający się jako gracz szkoły średniej, na uczelni musiał zmagać się z kontuzjami – do tego stopnia, że przez 2 sezony nie grał w drużynie uniwersytetu Kentucky. Jednak w sezonie 1983-84 Bowie wrócił i doprowadził Wildcats do Final Four. Podczas badania klubowy lekarz ostukał piszczele gracza. Ten skłamał, że nie bolały. Po latach, w dokumencie *Going Big* (2012, Jon Fish, Tom Friend), przyznał się do kłamstwa: „Zrobiłem to, co zrobiłby każdy inny atleta, spróbowałem się sprzedać, żeby trafić do NBA. Każdy chce się sprzedać nie tylko jako potencjalny gracz, ale nawet jako pierwszy wybór w drafcie. Podczas badań moja chora noga bolała jak cholera. Naprawdę”. Bowie trafił do NBA z drugim numerem w drafcie i skończył karierę po dziesięciu przyzwoitych, ale jednak naznaczonych kontuzjami sezonach.

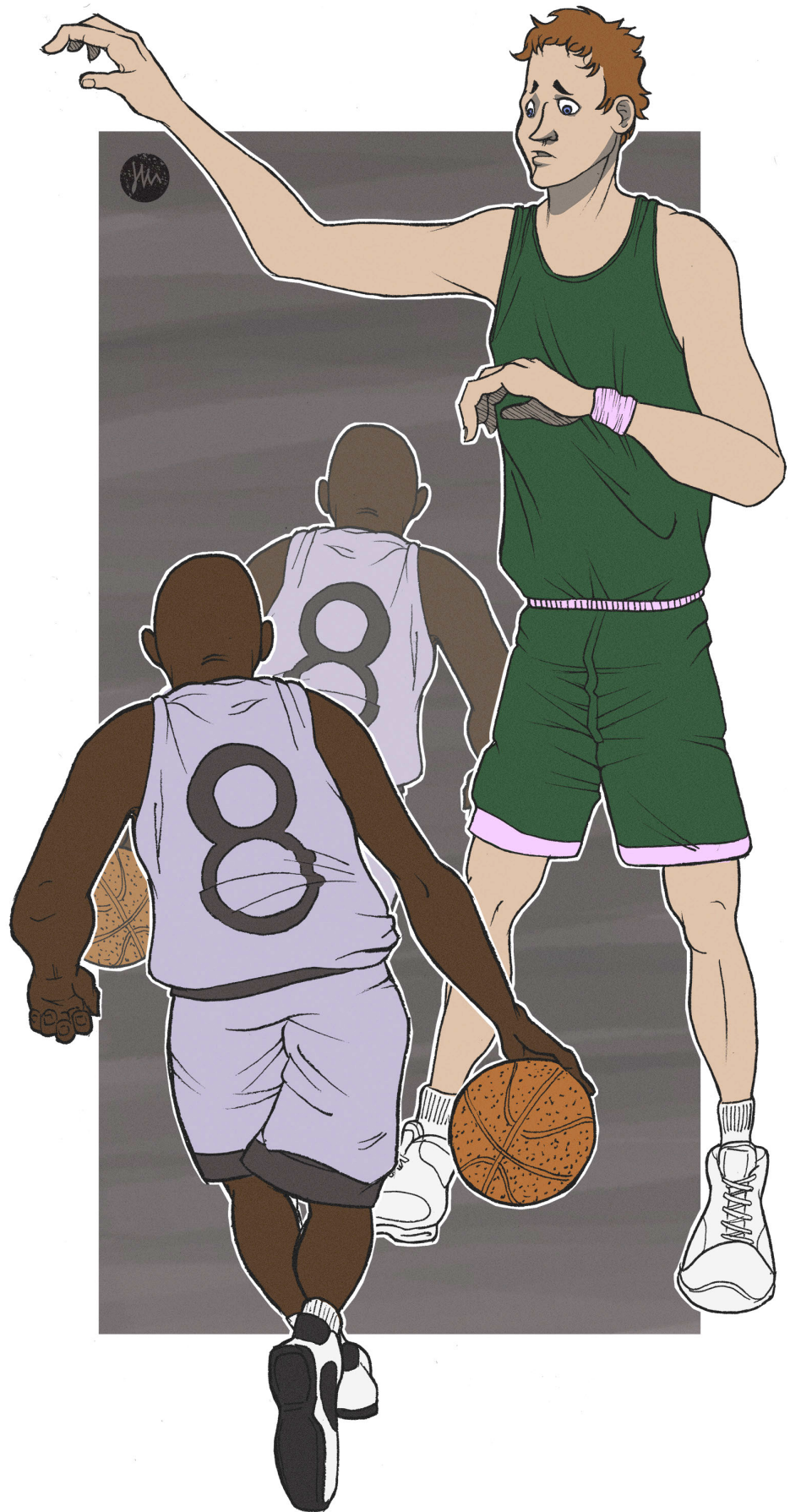
Nie powinno zatem dziwić, że do pewnego czasu dobrzy, zdrowi środkowi byli dla drużyn na wagę złota. Wiele z nich było skłonnych sporo zapłacić za kilkaset centymetrów w środku. Niechlubnym przykładem stosowania taktyki Auerbacha była decyzja Wally'ego Walkera, menadżera Seattle SuperSonics. W sezonie 1995-96 wygrali 64 spotkania i wreszcie, po dwóch latach upokorzeń w pierwszej rundzie, awansowali do finałów. Tam jednak musieli uznać wyższość jednej z najlepszych, jeśli nie najlepszej drużyny w historii ligi – Chicago Bulls. Graczem, którego zdaniem Walkera brakowało Sonics, był Jim McIlvaine (216 cm), rezerwowy Washington Bullets. Po dwóch anonimowych latach w stolicy Stanów Zjednoczonych McIlvaine eksplodował na 6 ostatnich meczów



sezonu zasadniczego, urastając do rangi specjalisty od bloków, sprawdzając się przede wszystkim w ostatnim meczu sezonu, w którym Bullets grali przeciwko Chicago Bulls. Walker wycenił wartość tych ostatnich sześciu spotkań na siedmioletni kontrakt wart 33 miliony dolarów. Tym sposobem środkowy miał zarabiać więcej niż Karl Malone, Scottie Pippen czy Shawn Kemp, najlepszy obok Gary'ego Paytona gracz Sonics. Połowa drużyny, w tym Payton, podpisała po sezonie nowe kontrakty. Kemp (208 cm) natomiast związany był z klubem umową do sezonu 2002-2003, za który miał zarobić prawie 15 milionów dolarów. Do tego czasu musiał się jednak zadowolić 3-4 milionami za sezon. Ponieważ klub nie mógł renegocjować jego kontraktu, Kemp zdecydował się zniechęcić do siebie pracodawcę. Po roku był już w Cleveland, gdzie podpisał nową umowę. Podczas pierwszego poważnego lockoutu (1999, drugi nastąpił w 2011) – przerwy w rozgrywkach spowodowanej konfliktem między ligą i związkiem zawodników – Kemp przytył, ale nadal był przyzwoitym graczem, został nawet uznany najlepszym silnym skrzydłowym w historii klubu. W trzecim sezonie grający z musu na pozycji centra Kemp był liderem ligi w faulach i w pierwszej trójce pod względem strat. Przez

nadwagę zatracił wybuchowość, z której słynął, i został oddany do Portland, gdzie zatracił się w alkoholu i narkotykach. Biedny McIlvaine sam w sobie nie był nic winien – przeciętni środkowi podpisują obecnie dużo wyższe kontrakty. Był jedynie kamyczkiem, który rozpoczął lawinę.

Zresztą lato 1996 wywindowało płace do niespotykanego dotąd poziomu. Alonzo Mourning został pierwszym graczem w historii NBA, który podpisał kontrakt za ponad 100 milionów dolarów. Po tym, jak Charlotte Hornets nie chcieli przedłużyć z nim umowy na jego warunkach, w trakcie sezonu wymusił transfer do Miami Heat. Pat Riley, zwykle budujący zespoły wokół środkowych, obiecał uczynić z niego centralną postać zespołu, a na potwierdzenie tych słów dał mu 7-letni kontrakt wart 105 milionów dolarów. Najwyższy kontrakt tego lata podpisał „zainspirowany” Mourningiem Shaquille O’Neal – ponieważ zwykł dominować nad centrem Miami Heat, uznał, że powinien zarabiać więcej niż rywal. Jego poprzednia drużyna, Orlando Magic, nie chciała zaoferować mu tak wysokiego kontraktu, więc zdecydował się odejść do Los Angeles Lakers, która po pozbyciu się



trzech ważnych graczy była w stanie zaoferować mu 121 milionów za 7 lat gry.

Błędnie przy tym kontrakt Jona Koncaka (213 cm), znanego jako Jon Contract po tym, jak w 1989 podpisał umowę na 6 lat za 13 milionów dolarów. Miał zatem rocznie zarabiać więcej niż Jordan, Magic Johnson czy Larry Bird. I to po sezonie, w którym zaliczał ledwie 6.2 punktu i 6.1 zbiórki na mecz. Sam Koncak po podpisaniu kontraktu mówił: „Nie mogę uzasadnić, czemu mi tyle zaoferowali, ale co miałem zrobić? Odmówić?”. Mający wówczas 26 lat koszykarz stał się symbolem zmian finansowych w NBA, podobnie jak potem McIlvaine. Stan Kasten, ówczesny generalny menadżer Atlanta Hawks, wierzył, że za kilkadziesiąt lat w lidze będą rządzić wysocy, a jakaś drużyna wystawi pierwszą piątkę ze średnią wzrostu 213 centymetrów.

Czas pokazał, jak bardzo się mylił. Obecnie drużyny wystawiają trzech obrońców w podstawowym składzie, czasem kompletnie rezygnując ze środkowych. W ciągu ostatnich pięciu sezonów tylko jedna drużyna zdobyła mistrzostwo przy sporym udziale centra – San Antonio Spurs w sezonie 2013-14. Inne drużyny wystawiały na tej pozycji nominalnych skrzydłowych, takich jak wy-

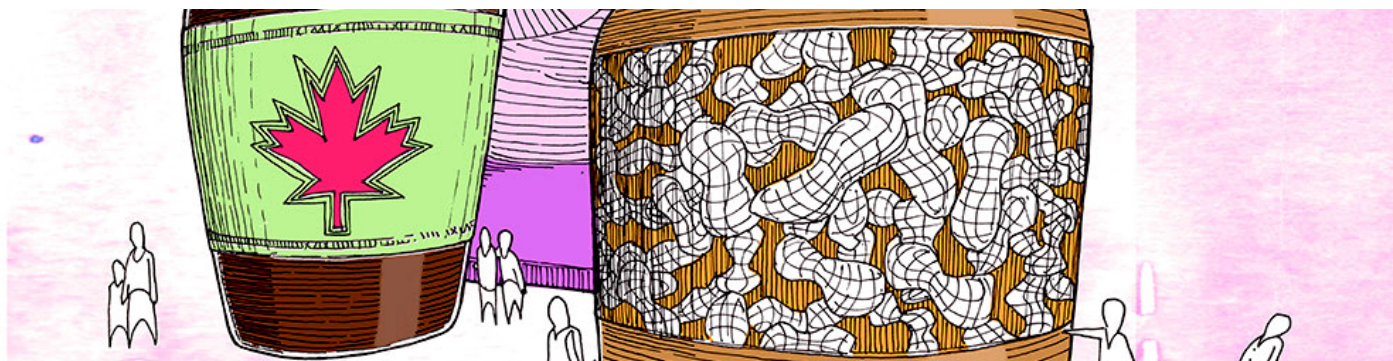
soki (211 cm), ale raczej stroniący od twardej, fizycznej gry Chris Bosh czy mierzący ledwie 201 centymetrów Draymond Green. Doszło do tego, że podczas wyborów uczestników meczu gwiazd centry przestali stanowić oddzielną kategorię – obecnie kibice wybierają dwóch graczy obwodowych i trzech podkoszowych, a nie dwóch obrońców, dwóch skrzydłowych i centra, jak bywało wcześniej. Sukces niskiej koszykówki (*small ball*) pokazuje, że w tym sporcie wzrost nie zawsze ma znaczenie. Choć warunki fizyczne predysponują graczy do bycia lepszymi w niektórych aspektach tej dyscypliny, to talent i ciężka praca zawsze będą znaczyć więcej. 🧠

ŁUKASZ MUNIOWSKI

Autor scenariuszy do komiksów: „Uowca”, „Leniuch”, „Kolęda” i kilkunastu shortów. Doktorant w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

MARIUSZ HOŁOD

Student Wydziału Architektury na Politechnice Wrocławskiej. W wolnych chwilach zajmuje się tworzeniem komiksów i ilustracji.



JAK MIERZYĆ KANADYJSKĄ MIARĄ?

KATARZYNA JEZIORSKA | MATEUSZ GAWRON

Kanada to drugi największy kraj świata. Ogromne przestrzenie, 6 stref czasowych i dwa oceany po bokach. W tym wielkim państwie większość ludzi mieszka w odległości 150 km od granicy z USA. Północ jest wciąż jeszcze pusta, zimna, onieśmielająca.

Dostaję wiele pytań dotyczących emigracji do kraju klonowego liścia. Jednak ciężko jest odpowiedzieć jednoznacznie, czy komuś się będzie podobało życie tutaj – właśnie ze względu na rozmiar Kanady. I jej rozmach.

Ludzie piszą i pytają z Polski, sporo z Anglii czy innych europejskich krajów, które są jak chihuahua przy wielkim bernardynie. W tych państwach od granicy do granicy jest pięć godzin jazdy samochodem i od biedy da się dojechać z Warszawy do Włoch w dwa dni.

Z kolei droga z Toronto do Vancouver ciągnie się przez 5 prowincji, przez 5 dni, przez nieskończone morza lasów, przez pola po horyzont. Niezakłócony, niezmienny, wieczny widok, który przeraża ludzi nieprzyzwyczajonych, upakowanych na małych życiowych przestrzeniach. Czasami też nudzi ich ta monotonia.

Przyroda kanadyjska każe ci zmierzyć się ze swoją wielkością. Taki byłeś chojrak w Polsce? Gruba ryba na europejskich salonach? Przyroda i pogoda niektórych kanadyjskich prowincji utrzyma ci nosa od razu. Zima trwająca 5 miesięcy, gdzie codziennie jest minus 20 stopni? Proszę bardzo, bywa i tak. Niedźwiedź wchodzący do kuchni i buszujący w zapasach szopa, który ma cię za nic? To udokumentowane przypadki! Jesteś gotowy na takie wyzwania?

Nudna, spokojna, niewzruszona Kanada. Jak Golem wielka.

Kanadyjska wielkość często fascynuje. Dająca wolność i wybór przestrzeni uwodzi, ale wiele marzeń o bezkresnych podróżach zderzą się potem z rzeczywistością – większość emigrantów wyląduje w paśmie nadgranicznym, gdzie zima skutecznie ich unieruchomi, a z planów wycieczki-ucieczki często nie zostanie nic.

Ta wielkość jest jednak wewnętrzną siłą tego kraju. To nie tylko powierzchnia geograficzna, ale i sposób myślenia oraz organizowania sobie codzienności. Kanadyjczycy nie zawracają sobie głowy byle czym, nie są drobiazgowi, odpuszczają i są wyrozumiali. Mówią „przepraszam”, nawet kiedy nie ma za co przepraszać. Są opanowani. Spoglądają z wyrozumiałością na Amerykanów nabijających się z tego wiecznego *sorry*. Kompleksy? Po co to Kanadyjczykom, niech każdy robi swoje i nie angażuje innych za bardzo. Za ich plecami stoi w końcu potężne państwo.

Naszej rodzinie europejskich imigrantów trudno było pojąć, czym jest tutejsze myślenie o rozmiarze. Weźmy choćby taki problem, jak wynajęcie mieszkania. Rodzina taka jak nasza, czyli 2+2, nie powinna mieszkać w mieszkaniu mniejszym niż 4-pokojowe (3 sypialnie plus pokój dzienny). Zdaniem troskliwych Kanadyjczyków na

mniejszej powierzchni się nie pomieścimy, będzie nam ciasno, niewygodnie. A w ogóle co to za pomysły, żeby rodzina mieszkała w mieszkaniu. Rodzina powinna mieć dom. A najlepiej posiadłość, z podwórkiem z tyłu i z przodu, z garażem na dwa samochody, z czego jeden powinien być SUV-em, gdyby rodzinie zamarzyła się jednak wycieczka-ucieczka z miasta.

W sypialniach (każdy powinien mieć oczywiście swoją) stoją łóżka w słusznych rozmiarach, nazywane zresztą obrazowo: *king size* i *queen size*. I co wy na to, mikre, europejskie łóżeczka? W Kanadzie co najwyżej lalka się na was wyśpi. Dla dwóch osób tylko królewskie, gdyż *queen size*, jak nam tłumaczył poprzedni wynajmujący, jest dla gości, za małe na codzienne spanie. No tak.

Jak się już Kanadyjczyk wyśpi i wstanie ze swojego łóża, musi zjeść śniadanie. Sięgnie po płatki z pudełka *big size*. Albo *jumbo size*. Ewentualnie *family size*. Zaleje mlekiem, ale nie z litrowego kartonika, tylko chluśnie z galona. Może mu te 4 litry nie wytrysną na ziemię. W sklepach opłaca się kupować większe, bo częściej jest tańsze.

Nazwy sklepów mają w nazwie przymiotniki pokazujące wielkość, wyjątkowość, rozmach. „Prawdziwie niskie ceny” to w Polsce slogan reklamowy, ale w Kanadzie sklep może tak właśnie się nazywać: *Buy low food*. Do wyboru jest jeszcze jedyny prawdziwy kanadyjski sklep

”

**JAK SIĘ JUŻ KANADYJCZYK WYŚPI, MUSI
ZJEŚĆ ŚNIADANIE. SIĘGNIE PO PŁATKI
Z PUDEŁKA *BIG SIZE*. ALBO *JUMBO SIZE*.
EWENTUALNIE *FAMILY SIZE*.**



o nazwie, jakżeby inaczej, *Superstore. Real Canadian Superstore*. Same sklepy nie mają największej powierzchni, ale nie przeszkadza to wcale oferować asortyment najróżniejszych towarów w wielkich paczkach. Jak kupować rogalika, to od razu 10 sztuk, jak marchewki, to jedynie w paczkach 2,5-kilogramowych. Zakupy zmieszczą się do wózka, takiego z podwójnym siedzeniem dla dzieci, a potem spokojnie dojadą do domu w bagażniku wielkiego SUVa. Raz stanęłam przy takim – wyskoczyła z niego drobna kobieta pochodzenia azjatyckiego, podczas gdy mi tymczasem opona sięgała pod pachy.

A to Kanada właśnie.

Jedna rzecz zastanawia – w jaki sposób Kanadyjczycy przy takim podejściu i upodobaniu do dużego nie popadają w manię wielkości? Mniejsza nawet o manię, swój rozum mają, ale jak udaje im się przy takich wielkich pakach żywności nie być *plus size*? Bo uwierzcie mi, w Vancouver ludzi grubych rzadko się widuje. Kanadyjczycy uwielbiają biegać, pływać, jeździć na nartach, słowem – ruszać się, więc mogą te kilogramy masła orzechowego spalić. I do woli objadać się daniem narodowym: *poutine*, czyli wypieczonymi złościście frytkami polanymi mięsnym sosem i okraszonymi serem.

Teraz uczę się mierzyć swoje życie na wzór kanadyjski. Bo mi się ta miara całkiem podoba. 🍷

KASIA JEZIORSKA

Zupełnie zwykła trzydziestokilkulatka. Z wykształcenia filolog węgierski, z zawodu pracownik korporacyjny. Od 2014 z mężem i dwoma synami mieszka w Vancouver, pisząc o swoich doświadczeniach na blogu: kanadasienada.pl.

MATEUSZ GAWRON

Od rysunku architektonicznego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej rozpoczął swoją drogę przez przezawilości ilustracji i grafiki. W swoich ilustracjach stara się odnaleźć perfekcyjną kreskę oraz to, co naprawdę ładne. Jego prace znaleźć można w różnorodnych gazetach, na kilku blogach oraz jak na razie w jednej książce.



BETONOWA KOMNATA

MARTA STAŃCZYK | LUCJUSZ SAWICKI

Lidia Pańków zaczyna swoją opowieść o Ursynowie Północnym od zdjęć. I widoczne na nich miejsce, i przedstawieni ludzie zmienili się, więc fotografie kryją duchy przeszłości. Reporterka nie egzorcyzmuje ich, a przyzywa. Prowadzi badania przede wszystkim w terenie: nie zamyka się w archiwach, chodzi „po ludziach”, puka od drzwi do drzwi, wzbijając kurz z wycieraczek i uruchamiając rzęzącą maszynę wind, którą podróżuje między piętrami. Staje się medium osiedli. Finalnie okazuje się bowiem, że nie ma jednego Ursynowa.

Zawsze gubiłam się na blokowiskach – nie wychowując się na żadnym z nich, odbierałam je jak labirynt wysokich ścian, multiplikujący się w nieskończoność i odgradzający od reszty świata. Później dowiedziałam się o „ósmym dniu tygodnia”, przechodzeniu obok ławek w drodze po chleb i o Tereskach w domach z betonu. Oraz o laboratoriach socjologicznych na zgłiszczach wielkiej płyty – poznałam opowieści o blokach, które epatowały biedą, patologią, alienacją, pachnąc niezmiennie tanim winem wypijanym pod osiedlowym sklepikiem. Jednak blokowiska w tych opowieściach były nie tylko labiryntem

betonowych korytarzy, anten satelitarnych czy uwspółcześnieniem wizji Émila Zoli – oferowały możliwości spotkań. Podpowiadały, że krótkie filmy o miłości, ludziach z prefabrykatów i nieszczęśliwych (ostatnich) rodzinach nie stanowią jedynej narracji blokowisk.

Niedawno rynek wydawniczy podbił *Atlas: Doppelganger* Dominiki Słowik o śląskiej „mapie osiedla”, rok wcześniej na ekranach kin zobaczyć można było *Sąsiedzy* (2014) Grzegorza Królikiewicza, czyli awangardę zaangażowaną – oba dzieła próbowały stworzyć blokowiskom własną mitologię. Jednocześnie coraz większy rozgłos zdobywa strona i fanpejdż *Socialist Modernism* – celem działalności witryny jest ratowanie socjalistycznego dziedzictwa architektonicznego w dawnym bloku wschodnim tak przez dokumentację fotograficzną, jak i przez zbieranie środków na konserwację i renowację budynków. Obok katowickiego Spodka można znaleźć Hotel Uzbekistan w Taszkencie, ale także osiedla – m.in. Ont i Eva w Bukareszcie czy „dom na kurzych nóżkach” w Moskwie. Niektóre blokowiska czy nawet całe dzielnice, jak np. Nowa Huta, zyskują zresztą status kultowy – czasami aż do granicy osiedlowych cepelii.



Rozpoczęto
wielkiego węzła komunikacji
do "bramy" wjazd
do Ursynowa Nat



W kultowym serialu Stanisława Barei – *Alternatywy 4* – jeden z bohaterów, nowych mieszkańców bloku na Ursynowie, wykrzykuje: „Piękny dom, piękny! Tak, ta płyta to wielka płyta! Ma ogromną przyszłość!”. W PRL-u projektowanie urbanistyczne łączono z tworzeniem nowego społeczeństwa i promocją systemu: nowy, wspaniały świat imponować miał funkcjonalnością, zburzeniem klasowego porządku, ale przede wszystkim rozmiarem. Pańków pisze o Ursynowie jako o mieście „wyrastającym z ziemi ku chwale władz” (s. 272), porównując ten proces do powstawania Nowej Huty. Heroicznych, ale naiwnych „ludzi z marmuru” zastąpił w Warszawie oddział „siedmiu wspaniałych” – grupa idealistów, która stopniowo dostrzegała, że nie wszystkie ich pomysły przechodzą pomyślnie starcie z systemem, krytykując modernizm, scentralizowane budownictwo, upolitycznione planowanie urbanistyczne i zgodę na bylejakość, ale zmuszona do działania w tych ramach.

Architekci, którymi kierował Marek Budzyński, mieli do wykorzystania prefabrykaty – wielkie zespoły mieszkaniowe w drugiej połowie XX wieku zdominowane były przez wielką płytę i myślenie za jej pomocą. Kiedy zaczęto rezygnować z niej w Europie Zachodniej (transport był bardzo skomplikowany, a budynki miały problem z trzymaniem ciepła), przeżyła renesans w bloku wschodnim. W Polsce betonowy „reżim” datuje się zwykle od początku lat 50. do połowy lat 80. (choć pierwsze takie budynki powstały jeszcze przed II wojną światową w Łodzi). Ursynów nie miał być wyjątkiem od tej reguły. Kontrprzykładem dla architektów była bauhausowska, modernistyczna zabudowa – myślenie o nowym osiedlu było prospołeczne, może nawet socjalistyczne, ale nie radzieckie. Starali się nie powielać negatywnych wzorców oraz wytworzyć społeczność lokalną i więzi sąsiedzkie, a także zadbać o uatrakcyjnienie przestrzeni. Czasami ich tezy wydawały się naiwne, może nawet newage’owe, ale pokazywały, że Budzyński i reszta myślą o mieście i jego mieszkańcach w kategoriach organicznych. Po latach w wywiadzie opublikowanym w „Krytyce Politycznej” Budzyński krytykował ówczesnie dominujący sposób myślenia, przypominający zresztą działanie deweloperów: „Myśl modernistyczna kompletnie znisz-

czyła pojęcie miasta, które tworzyło swoistą jednię życia obywateli, władzy, przestrzeni publicznej czy obronnych związków z Naturą. Jednak w drodze ewolucji ta jednia została zdegenerowana, tworząc warunki niszczące życie. Modernizm ograniczył miasto do strefowania funkcji – do prostych geometrycznych bloków i układu dróg”.

Dlatego też Ursynów „wyreżyserowano” wedle koncepcji parcelacji grupowej oraz prowadzono dialog z pierwszymi mieszkańcami. Budowie osiedla przyświecały idee samorządowe, obywatelskie; podmiejską sypialnię chciało zamienić we wspólnotę, w której ludzie biorą odpowiedzialność za swoje otoczenie. W tym celu starano się, po pierwsze, „zrehabilitować ulicę”, skupić życie osiedla na poziomie parteru, na licznych podwóreczkach. Słowem: stworzyć wielkomiejską wieś. Po drugie, współpracowano z psychologami i socjologami, z twórcami instytucji, osiedlowych klubów, poradni, szkół, bibliotek. Zachęcano mieszkańców do współdziałania i do przyjmowania aktywnej postawy. Po trzecie, zadbane o przestrzeń – rozbudowano lub zachowywano tereny zielone, stworzono Kopę Cwila, wykorzystując ziemię z placu budowy, w trosce o orientację w przestrzeni dano wolną rękę rzeźbiarzom. *Piosenka dla nowej Warszawy* – jak nosi nazwę jedno z dzieł – nie wybrzmiała jednak w pełni.

„Siedmiu wspaniałych”, jak i w filmowym wcieleniu, stanęło do nierównej walki z całym systemem, promującym wydajność, czyli bylejakość. Materiały, które otrzymywali, nie dorównywały jakością projektów, wypaczających wizje. Odważny projekt szkoły czy kościoła nie mógł się po prostu ziścić w ówczesnej rzeczywistości. Twórcom również brakowało doświadczenia – przede wszystkim w ocenie „czynnika ludzkiego”. Eksperyment społeczny, którym miał być Ursynów Północny, i dobra wola jego twórców upadły w konflikcie z urzędnikami, a następnie z władzami spółdzielni. Okazało się również, że „społeczeństwo jest niemiłe” – mieszkańcy nie chcieli



włączać się w kształtowanie osiedla, zaskoczyli ekipę Budyńskiego biernością i roszczeniowością. Zresztą Pańków rozbija stereotyp i dostarcza do „żywotów świętych osiedlowych” mniejszą, ale jednak istniejącą grupę aktywistów, ludzi zaangażowanych w życie Ursynowa, starających się je animować.

W *Blokach w słońcu* nie ma monolitycznej grupy, próby statystycznej, a tym bardziej kryminalizacji osiedla i epatowania „socjologicznie potwierdzoną” patologią,

co jest stałym motywem nie tylko u nas, ale również na francuskim *banlieu* czy w brytyjskich *high-rise*. Historia projektowania, a następnie budowy Ursynowa przeplata się ze wspomnieniami mieszkańców z różnych grup społecznych. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że reporterka preferuje inteligenckie losy, wybijające się jednostki i historie karier „od blokera do prawnika”. Pukamy do Siesickich, potem zaglądamy do Domu Sztuki Ursynów, prowadzonego przez Urszulę Janowską, a następnie zahaczamy o ogród Joli Stryjeckiej. Włodi,

współzałożyciel zespołu Molesta, „wyszedł na ludzi”, skejci to opiekuńczy ojcowie, a graffitiarze-wandale cieszą się renomą prekursorów polskiego street artu. Bloki są oddemonizowane – właściwie na skalę peerelowskiej propagandy. Wielka płyta nabiera przytulności, a współczesną anonimowość zastępuje poczucie wspólnoty i zindywidualizowane doświadczenia.

Jeden z bohaterów reportażu, Patryk, „wszystko zapamiętał inaczej”: nie szlak ulic i bloków, a miejscówek i baz. Stworzenie kroniki nie jest możliwe, więc reportaż o osiedlu składa się z materiału o wiele bardziej kruchego niż ten, z którego je budowano: ze wspomnień. Jak można przeczytać w *Atlasie...* Słowik: „sadowski tworzył w swojej głowie niezwykłą konfigurację obrazów, odtwarzał miniony czas z najdrobniejszymi jego elementami. nie wartościując ich znaczenia, uznawał każdy, nawet najmniejszy przeblysłk minionej rzeczywistości za istotny. stał się ekspertem poruszając się z prawdziwą wprawą na pozornie wąskim, ale w rzeczywistości nieskończonym polu swojej ekspertyzy. w jego głowie w cudowny sposób formował się pełnowymiarowy, dawno wymarły świat, który być może nigdy nie istniał”. Dlatego też te opowieści – o Ursynowie, ale i o innych przedsięwzięciach – zdominowane są przez nostalgię.

Nie tylko renowacja elewacji odmalowuje bloki w pastelowych barwach i zmienia ich faktury. Narracje o „antenach wyższych od drzew”, chłopakach pijących na ławkach i za małych metrażach mieszkań wypierane są coraz częściej przez spotkania przy trzepakach, zabawy domofonem czy pożyczanie soli – przez wspomnienia dawnej bliskości i lokalny patriotyzm. Ja nie miałam własnego osiedla, ale pamiętam z dzieciństwa wizytę w mieście rodzinnym ojca, Kłodzku. Zabrał mnie na osiedle Kruczkowskiego i z dumą przeprowadził wzdłuż falowca: „To chyba najdłuższy blok w Polsce”. Jak widać, wielka płyta ma jednak nadal ogromną przyszłość – cały czas rośnie w pamięci.

MARTA STAŃCZYK

Studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, filmoznawca wannabe. Trochę ogląda, trochę czyta i trochę słucha, ponieważ marzy o zostaniu kulturalnym krakusem.

LUCJUSZ SAWICKI

26 lat, kolażem zajmuje się od 5 lat. Pierwsze kolaże tworzył słuchając radia. Dzięki możliwości współpracy z Pracownią R5 w Białymstoku miał okazję urządzić wystawę swoich prac. Obecnie dalej stara rozwijać się w tym kierunku, lecz stawia na swój indywidualny styl. Na dzień dzisiejszy mocno interesuje się sztuką glitchu i próbą jej przełożenia na kolaż. Teraz głównymi tematami jego kolaży jest seksualność, osobowość i obraz człowieka w współczesnym świecie, facebook.com/sztafcollage.



„WYOBRAŻALIŚCIE SOBIE WIERŠE INACZEJ?”

ŁUKASZ KRAJ | SZYMON SZELC

„Na początku były dwa słowa. Po jakimś czasie pojawiło się jedno słowo. Strach pomyśleć, co będzie później” – to utwór otwierający nowy tomik poezji Marcina Świetlickiego. Już w pierwszym, niejako programowym wierszu z *Drobnej zmiany* zapowiedziane zostaje wyciszenie dykcji poetyckiej, przede wszystkim poprzez formę: trzy zdania, pozbawione nawet związania w wersy, bez środków stylistycznych, bez emocji. Tylko co i po co Świetlicki właściwie stworzył, oddając w nasze ręce ten zbiór luźnych, często pozbawionych związku myśli, sprawiających wrażenie napisanych od niechcenia?

Nie jest tu moim celem ani recenzowanie, ani tym bardziej stawianie diagnozy co do ewolucji twórczej Świetlickiego (choć nie da się ukryć, że mocno się zmienił – zrezygnował z wersyfikacji, zwrócił się w stronę prozy

poetyckiej oraz demonstracyjne uprościł i tak nieskomplikowany język), a raczej przyjrzenie się, w jaki sposób przenika się świat zewnętrzny, „pozaliteracki” z poezją. Tytuł *Drobna zmiana* aż prosi się, by ten tomik czytać przez pryzmat codziennej rzeczywistości.

Zanim zabierzemy się za rozbieranie Świetlickiego, niech wybrzmi, co w powieści *Marsz Polonia* kilka lat temu napisał o poezji jego dobry znajomy, Jerzy Pilch: „Jak się (...) nie umie dać wielkiej realistycznej powieści – zawsze można dać mały, nierealistyczny poemat. Dlatego jesteśmy krajem liryki. Z lenistwa i nieporadności”. A więc Polska to kraj liryki, a Polacy jako potencjalni artyści skłaniają się do małych form, bo po prostu nie chcą się pisać dzieł z tołstojowskim rozmachem (o „nieporadności” nie ma sensu tu mówić). Ciekawa teza i w odniesieniu do *Drobnej zmiany* wcale nie tak absurdalna.

Wydaje się, że poezja traktowana jako wyraz lenistwa i niechęci (może rezygnacji?) łączy się z niedającym się zbagatelizować milknięciem Świetlickiego.

W *Drobnej zmianie* poezja się „skurczyła”. Widać to już po długości „wierszy”. Nazywanie tak krótkich, czasami jednozdaniowych, notatek poezją wydaje się dość odważne, nawet jak na Świetlickiego, który przecież zawsze był podszyty buntem. Nie ma jednak wątpliwości: „I to nie jest dzienniczek, pamiętniczek czy inne gówno. To są wiersze. Wyobrażaliście sobie wiersze inaczej? Wyobrażajcie sobie nadal” (*Jedenastego lutego*). Bardzo to bezkompromisowe słowa, ale chyba tylko pozornie. W świetle wszystkich XX-wiecznych perturbacji w sztuce (konceptualizm, dadaizm, *Nic* Jasieńskiego i wiele innych) stwierdzenie, że dowolny tekst staje się poezją po prostu z woli artysty, nie dziwi już tak bardzo. Najnowsze wiersze Świetlickiego to przeważnie krótkie wycinki otaczającej nas rzeczywistości, migawki z życia codziennego wtłoczone w ramy liryki. Równie wiele miejsca poeta poświęca tak sytuacji odpisywania na maile, jak i np. wypowiedzi ministra. To cytaty ze świata, czasem z lakonicznym, ironicznym komentarzem. Sprawy, które dotyczą Świetlickiego jak każdego szarego obywatela, kwituje on mimo wszystko oszczędnie. Nie podejmuje dyskusji, nie buntuje się, „grzecznie odpisuje”, że „nie uczestniczy w niczych projektach” (*Już*). Wszystko, co ma do powiedzenia na temat tego świata, to zdanie lub kilka każdego dnia.

Tak, każdego dnia, bo te krótkie notki zaskakująco często mają w tytule odniesienia do dat, co więcej – wbrew temu, co mówi Świetlicki, jest to forma dziennika, miejscami nawet czegoś w rodzaju brudnopisu. Przychodzi mi na myśl paradoksalne (a może nie?) skojarzenie z internetowym i chyba coraz powszechniejszym trendem w szeroko rozumianych mediach społecznościowych: używanie prywatnego konta do zdawania relacji z życia codziennego. Zjawisko to obejmuje szeroką grupę użytkowników, od gimnazjalistek na Twitterze przez hipsterów z Instagrama po ujmujących w swojej nieporadności celebrytów na Facebooku (*vide* Magda Gessler). Zestawienie buntownika Świetlickiego z powyższymi zjawiskami, stanowiącymi przecież kwintesencję mainst-

reamu, otwiera nowe pola odczytań. Wiersze jako zbiór facebookowych postów, pisanych na gorąco – po koncercie, podczas spaceru – jako ironiczna kontrpropozycja w stosunku do wszechobecnego wirtualnego ekshibicjonizmu. W ten sposób codzienna rzeczywistość wpływa na formalny kształt poezji. Zresztą warto w tym miejscu wspomnieć, że od niedawna Marcin Świetlicki prowadzi swoją własną stronę na Facebooku („Marcin Świetlicki INFO”) i oprócz poezji publikuje tam np. zdjęcie swojej kuchni podczas remontu lub we właściwy sobie sposób żartuje z Dody. A wszystko to robi sympatycznie i z klasą.

Ale lakoniczność komunikatu nie równa się brakowi emocjonalnego zaangażowania, chociaż intuicyjnie czuję, że autor kpi sobie z tych, którzy swoje codzienne życie zamieniają w publiczny spektakl w barwach instagramowych filtrów. Wbrew pierwszemu wrażeniu dystansu *Drobna zmiana* to zbiór bardzo intymny. Z rzeki zgryźliwości i pozornego chłodu można wyłowić te elementy życia, które nie budzą sprzeciwu (to celowy eufemizm, „afirmacja” byłaby jednak zbyt śmiałym słowem). Dobrze jest np. „usiąść na ławce z psem u nóg i siedzieć godzinami” (*W uśpieniu*). Ekstremalnie małe rozmiary liryków w tomie każą zwrócić uwagę na każdy powtarzający się element. Wyjątkowo często będzie nim właśnie suka: czy to siedząca przy Świetlickim, czy podczas porannego spaceru. Ten motyw przewija się między wierszami, by wybrzmieć głośno – ze względu na przedostatnią pozycję w tomie – w *Burzy, ostatnim dniu maja*. Jeśli do tej pory nie dostrzegliśmy w dzienniku śladów uczucia, tutaj nie przeoczymy więzi łączącej człowieka i zwierzę.

Wybrzmiewa to tym mocniej, że tomik jest świadectwem ostentacyjnej alienacji: „Ode mnie zależy tylko tyle, że ciebie. Tu. Nie” (*Skreślenia*); „Jesteśmy osamotnionymi, sparaliżowanymi Guliwerami” (*W kwietniu 2016*). Postawa Świetlickiego graniczy z mizantropią. Nie da się ukryć, że wydaje się zmęczony światem. Homogenizacja internetowych zachowań ludzi to zjawisko, z którego można sobie zadrwić, ale w *Drobnej zmianie* rysuje się perspektywa o wiele bardziej niepokojąca. Jest to – powiedzmy to wreszcie – kontekst polityczno-społeczny. Stanowi tło, na którym rozgrywa się dramat jednostki. „Takie są wasze wybory. (...) Przez to czujemy się jeszcze



” JEŚLI POEZJĘ PISZE SIĘ „Z LENISTWA”, TO RÓWNIE DOBRZE MOŻNA JĄ PISAĆ ZE ZNUŻENIA

bardziej samotni” (*Lista przebojów wszechczasów*). Na tę samotną jednostkę rzuconą w rzeczywistość po „drobnej zmianie” składają się różne jakości – „myślenie inaczej” (*Trzeciego maja*) czy zwykłe starzenie się (*Blues Matuzalema*). Nękany codziennością i depresją bohater *Drobnej zmiany* doświadcza kolizji swoich dążeń artystycznych i sytuacji społecznej. Obie perspektywy, polityczna i literacka, nakładają się na siebie w dwuznacznych *Kilku radach* („Żadnych żartów (...) Powinny mieć postawę, nie finezję”). W *Wiecznym ruchu* zarysowana zostaje opozycja: my / artyści – oni / naród / czytelnicy, w egzystencję jednostki twórczej wpisując ciągle napięcie między człowiekiem a środowiskiem. Autotematyczna autorska refleksja dochodzi do szczytu w kąśliwym *Och*, stanowiącym spóźnione wytłumaczenie dla modyfikacji do tychczasowego stylu pisania. Czym Świetlicki tłumaczy „drobną zmianę” w swoich wierszach?

Och, jakże by to wszystko. Pięknie wyglądało. Rozpisane na wersy. Jakże by to wszystko. Pięknie wyglądało. Ale sytuacja. Oraz środowisko. Oraz sumienie. Nie zezwalają.

To jasna deklaracja: poezja mówi w taki sposób i tyle, na ile pozwalają jej warunki, w których żyje twórca. A teraz nie pozwalają mu na wiele. I coś po poecie w czasie marnym, chciałoby się zapytać.

Czas marny i absurdalny, ale nie słychać w *Drobnej zmianie* jakiegoś głośniego buntu. Jawnie polityczne liryki (*Z nabożnych lektur, Minister kultury i dziedzictwa ma refleksję*) grają niedorzecznością czy ironią, jest ich też

w tomie dużo, ale poza tym sporą grupę zajmują wiersze apolityczne, głęboko prywatne, dotyczące tematu depresji, który jest w tym poetyckim świecie stale obecny, chociaż nie zawsze jawnie. Kiedy już pojawiają się bezpośrednio kwestie psychiczne, robią duże wrażenie jako czynnik destrukcyjny dla „ja”, dla tożsamości, jak w *Euforiach i depresjach* („W środku zredukowany ludzik”), albo jako stała, niezrozumiała groźba, jak w *Pustym czwartku*.

Umowny podział na dwie grupy tematyczne – kwestie społeczne, polityczne, kulturowe oraz prywatne, indywidualne – ma sens tylko, jeśli zaraz potem go zniwelujemy, jak zresztą robi Świetlicki, grając niedopowiedzeniami oraz dwuznacznościami. Jakie są możliwości działania jednostki wobec powszechnego dramatu? I co wspólnego mają: skrótość postów z Facebooka, przemiany w państwie oraz prywatne troski? Otóż wszystkie te sprawy nachodzą na siebie i składają się na ogólną rzeczywistość otaczającą autora. Jej obraz jest co najmniej przykry. Bunt czy raczej niechęć wobec świata to akurat stały motyw w sztuce, ale w tym przypadku mamy do czynienia z jego wyjątkową formą, która w różny sposób współgra z wszystkimi aspektami opisywanego życia.

Jeśli poezję pisze się „z lenistwa”, to równie dobrze można ją pisać ze znużenia, z niechęci do otaczającej nas rzeczywistości. Oczywiście to stwierdzenie będzie sporym nadużyciem, ale nie da się oprzeć wrażeniu, jak gdyby Świetlicki usilnie starał się nas przekonać, że po prostu nie chce mu się pisać inaczej. Że pozornie wielkie polityczne sprawy, które opisuje, tak naprawdę zasługują na kąśliwe wyśmianie. Że trzeba maksymalnie oddalić się od patosu.

Cóż, wydaje mi się, że to poza, forma samoobrony. Że politowanie wobec świata polityki i demonstracyjnie mała objętość wierszy pisanych z przewrotnie rozumianego „lenistwa” mają na celu maskować jakieś poważniejsze, nie takie „drobne” zmiany: coraz dotkliwszą samotność, nieuchronnie zbliżającą się (a może już obecną?) starość. Świetlicki nie różnicuje poetyki, opi-

sując sprawy prywatne i społeczne. Wystarczy zmiana kontekstu: ta sama forma, tak wymowna przy tematyce publicznej, liryce osobistej nadaje niezwykle intymny, melancholijny charakter.

Wiersz, od którego wziął tytuł cały tom, po prostu opisuje zamianę kawiarni artystów na sklep z militariami. To tylko „drobna zmiana”, do tego wydarzyła się najwyżej „podobno”, czyli właściwie nie wiadomo dokładnie, co i czy w ogóle się stało. Jednak nie da się zaprzeczyć, że „dzisiaj jest tu sklep z militariami”. Drobną zmianą w świecie polityki, drobną zmianą w kontekście historycznym, drobną zmianą we mnie i w mojej poezji. Świetlicki jest wręcz ostentacyjny w tym swoim beznamiętnym dystansie wobec świata, w pozornym pisaniu „od niechcenia”. Niewiele znaczący świat równa się niepozornej, nieefektywnej poezji. Nasze czasy nie zasługują na „prawdziwe” wiersze – sytuacja, środowisko i sumienie nie pozwalają. Wypiera je „proza życia”. 🍷

ŁUKASZ KRAJ

Wesoły student filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Chciał zostać muzykiem, ale wybrał książki. Jak typowy polonista - ma skłonności do zachwyty nad wszystkim, a w szczególności nad popkulturą, nokturnami Chopina i powieściami Masłowskiej.

SZYMON SZELC

Przede wszystkim rysuje, jego ulubione tematy to kosmos, roboty, dinozaury i dziewczyny. Czasem trochę maluje ma galerie w łazience i komiksy w mydle. Lubi swój czarny rower, [instagram.com/szymonszelc](https://www.instagram.com/szymonszelc), [szymonszelc.pl](https://www.szymonszelc.pl).





PRZERZUCAM MOSTY, ZAMIAST JE PALIĆ

SZYMON SZMYD | MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

Po kilku perturbacjach dotyczących miejsca spotkania (Klub LodiDodi, przed którym czekałem, okazał się Private Clubem z przesłoniętymi witrynami) umawiam się z L.U.C-iem w klubokawiarni przy Kruczej. W końcu znaleźliśmy ustronne miejsce. Nasza rozmowa rozpoczyna się absurdalnie – od tego, co jadł na śniadanie. Niepostrzeżenie rozprawiamy o wyższości kielbasek nad jajkami. Czuję, że wchodzimy powoli na wyższy poziom abstrakcji, ale to dopiero początek. Gdy sięgam po dyktafon, zupełnie znikąd wkracza na parkiet 6 par w bardzo różnym wieku, które zaczynają tańczyć Lindy Hop, tak jakby guzik od nagrywania w dyktafonie włączał także ich aktywność. Nasze ustronne miejsce zamienia się w centrum nocnego życia. Jest gwarно, tłoczno, L.U.C ledwo przebija się przez szelest stóp, więc przechodzę od razu do rzeczy.

Skąd pomysł na tak pracochłonny projekt, jak Rebel Babel?

Jak to u mnie – to był raczej cały tir przyczyn. Żebyś lepiej zrozumiał: wyobraź sobie, że jak jest taki tir z kurami i ma na pace komórki, w których siedzą kury, to tych przyczyn jest nie tyle, co komórek z kurami, a ile komórek w samych kurach w tirze z kurami (śmiej). Innymi słowy: jest ich bardzo dużo.

W takim razie jakie były najważniejsze komórki-przyczyny?

Przed wszystkim wydaje nam się, że Europa nie jest zintegrowana kulturowo. Chodziło o budowanie platformy wymiany muzyków, tekściarzy i kompozytorów. Języki europejskiego rapu nie mają szans na wzajemne przenikanie się, słuchamy tylko krajowego rapu, ewentualnie rapu angielskiego, czasem francuskiego. Chodziło też o realizację idei zespołu, który opiera się *de facto* na nutach, a mogą grać w nim wszyscy. Jednak podczas prac nad projektem Europa nagle stanęła w obliczu bardzo drastycznych zmian, o którym powinniśmy rozmawiać

mimo różnic językowych czy kulturowych. Sztuka powinna odnieść się do tego, co się dzieje w Europie. Ale tak naprawdę wszystko zaczęło się od Jana Feat.-a, którego poznałem w Wilnie. Chciał stowrzyć big-band złożony z orkiestr z całego kontynentu. A ja chciałem mieszać języki.

Orkiestr jest mnóstwo. Jak je zatem dobieraliście, był jakiś casting?

Od samego początku pisaliśmy maile i zapraszaliśmy do współpracy. Namawialiśmy ludzi, by zapisywali się do swoich lokalnych orkiestr, dzięki czemu mieli szansę zagrać w Rebel Babel. Chcieliśmy nadać nowego tchnienia orkiestrom, bo obecnie są one w całej Europie nieco zapomniane. Za sprawą naszego projektu mają one w końcu szansę współuczestniczenia w popkulturze z takimi artystami, jak Grubson, BISZ, Małpa czy PROMOE z Lo-optroop. Dla nas to też jest wielka przyjemność, bo obcujemy z ludźmi, którzy mają pozytywną energią, mają dużo świeżości, nie są zepsuci przez rynek; i to nam się udziela. Chociaż czasami idziemy w kierunku zawodowych orkiestr, jak np. podczas koncertu w Barcelonie na ruchomych schodach metra, gdzie zagraлиśmy z orkiestrą z konserwatorium muzycznego.

Orkiestra maszerująca po ruchomych schodach i grająca w ich rytm to niecodzienny widok! Wyszło świetnie, ale skąd w ogóle taki pomysł?

Częściowo wynika to z naszej fascynacji performensem oraz Kantorem, częściowo Yes-Menami; stąd teatralizacja muzyki i chęć upożytywnienia przez nią świata. Częściowo również ten projekt ma wychodzić w przestrzeń, do ludzi, muzyka ma przekraczać sferę YouTube'a i płyt kompaktowych, ma pojawiać się w nieoczywistych miejscach, kreować radość. W Barcelonie cała orkiestra musiała dostosować się do tempa schodów, a nie na odwrót. To trochę absurdalne, ale o to też nam chodzi. To była najniższa stacja metra, dokąd ludzie zazwyczaj dojeżdżają windami, bo są szybsze niż schody, więc ten koncert był dla kilku wybrańców, którzy wyznają *slow life* i wybrali 8 odcinków ruchomych schodów. Ludzie reagowali na to bardzo pozytywnie.

Pochodzisz z Wrocławia, miasta stu mostów. Na Rebel Babel także przerzucasz mosty – nad czym konkretnie?

Nad górami i rzekami, podziałami, nad ocenianiem, nad ksenofobią, nad różnicami językowymi. By przetrząsnąć niektóre mosty, dużo podróżowaliśmy na krańce Europy. Ostatnio mało palę, żeby to wszystko ogarnąć, ale za to mój samochód postanowił się spalić za mnie (śmiech). Spłonął w Hiszpanii. Dużo przygód, rozmowy z mechanikami po hiszpańsku, lawety do Polski... Albo jak gdy pędząc przez Francję, byłem pewien, że rozpętała się burza, a to fotoradary trzaskały mi fotki w plecy, więc to również most nad pięknymi trójkolorowymi munda-

”

JA JUŻ CHYBA TAK MAM, ŻE JAK DOSTANĘ KOPNIAKA OD ŻYCIA, TO JESZCZE CHĘTNIEJ PRZEKSZTAŁCAM GO W KOPA MOTYWACYJNEGO, BY ROBIĆ RZECZY NA JESZCZE WIĘKSZĄ SKALĘ.

tami z hasłem: Wolność, Równość, Braterstwo; Francja-elegancja nawet na mandatach. Ale faktycznie, przerzuciliśmy się na zupełnie nową skalę. Ja już chyba tak mam, że jak dostanę kopniaka od życia, to jeszcze chętniej przekształcam go w kopa motywacyjnego, by robić rzeczy na jeszcze większą skalę.

Co za kopniaka dostałeś tym razem?

W pewnym momencie straciłem miłość, co mocno przeżyłem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak ważny element mojego życia stanowi. Tym bardziej, że jestem na takim etapie, że znajomi zakładają rodziny. Wywróciło mi się wszystko na etapie, kiedy moi bliscy się ustabilizowali. Wyleciałem z orbity. Czułem się samotny, tęskniłem i miałem stany depresyjne. Trudno było mi się odnaleźć po bardzo wielu latach głębokiej miłości.

To też taki moment, w którym łatwo się wykołeić.

Dokładnie. Poza tym depresja może sprawić, że stajesz się niewiarygodny i skończony. Rynek nie chce się zatrzymywać i czekać na ciebie. Są ludzie, którzy chcą wykorzystać twoją słabość, by wbić ci szpilę, wskoczyć na twoje miejsce – dżungla. Konkurencja jest ogromna, presja duża, więc naprawdę łatwo o wykołejenie. Stąd też kopniak w tyłek, by szybko się pozbierać. Chyba się udało to, co jest dla mnie ważne – by porażkę i upadek przekuć na jakiś pozytyw.

Czyli tak jak w klasyku rapuje Pezet: „Po co ludzie są przy nas?/Wyżej jesteś, to więcej trzymasz/Masz przewagę, to pociąga ich siła/A odpycha ich upadek”.

I właśnie dlatego z taką łatwością napisałem utwór *Tin-*

derelations o tych skomplikowanych realacjach naszych czasów – zajęło mi to 2 godziny. Przez samotność jeszcze mocniej niż poprzednio oddałem się muzyce i projektowi Rebel Babel, dużo podróżowałem, pracowałem 16 godzin dziennie, wymieniałem mnóstwo energii z innymi muzykami – i to mnie trochę z tego wyciągnęło. Z korzyścią zarówno dla mnie, jak i dla albumu.

Płyta Rebel Babel nosi tytuł *Dialog I* – czy to sugeruje, że tych dialogów będzie więcej?

Chcielibyśmy, żeby to się rozwijało, tym bardziej, że tak transkulturowych zespołów jeszcze nie było zbyt wiele. To trudne zadanie, bo na razie nie wszyscy rozumieją tę ideę. To nie jest zespół chłopaków z ławki, osiedla czy miasta, to nawet nie jest zespół chłopaków z kraju, ale z całego kontynentu! Możliwe zresztą, że Rebel może przekroczyć i te granice i przerzucimy mosty jeszcze dalej, tym bardziej, że już dostajemy pozdrowienia np. z Meksyku. Jednak trudno powiedzieć, w którym kierunku pójdziemy, bo każda nowa osoba otwiera nowe drzwi.

Do kogo teraz dotarliście?

Przez Rapsusklei – czołowego hiszpańskiego rapera – otworzyły się drzwi do Wözy, przez Wözę uchyliły się drzwi do Portugalii i nawiązaliśmy kontakt z Capicua itd. Cały czas rozmawiamy z paroma raperami z tego kraju. Za chwilę mogą się otworzyć drzwi do Anglii, bo już podczas nagrywania tej płyty prowadziliśmy rozmowy np. z Ms. Dynamite. Ludzie pozytywnie reagują na ten pomysł, na przełamywanie barier i entuzjazm orkiestr dętych.

Jak zmienia się kontekst odczytania płyty Rebel Babel przez takie szwy kulturowo-językowe?



Hmm, nie wiem, ja w ogóle nie rozumiem, co chłopaki nawijają (śmiech). Przyznam szczerze, że nie miałem kontroli nad wszystkimi słowami i nikt do końca nie wiedział, o czym każdy z nas nawija.

Czyli wcale nie chodziło o to, by się w pełni kontrolować.

Wręcz przeciwnie – chodziło przede wszystkim o wolność słowa. Oczywiście, nie jesteśmy idiotami, którzy nawijają zupełnie od rzeczy, ale nie mamy też możliwości wzięcia sobie urlopu od życia, spotkania się z chłopakami w jakimś kurorcie i wspólnego pisanie albumu przez tydzień. Tu wszystko działo się w międzyczasie, głównie w mailach, na łapaniu się między koncertami i solowymi karierami każdego z nas. Ustaliliśmy więc, o czym chcemy rozmawiać na albumie, co jest dla nas ważne, i każdy zrobił to tak, jak czuł. Dopiero później kleiliśmy to w całość. Zdarzało się, że mówiliśmy sobie szczerze, że coś komuś się bardziej lub mniej podoba. Wtedy ktoś odpowiadał, że po prostu tak czuje – i to szanowaliśmy. W końcu na tym polega właśnie ten album, by pokazywać, co nas łączy, ale z różnych perspektyw. I na okazywaniu szacunku.

I jak się one ze sobą zgrały zarówno kulturowo, jak i językowo?

Był taki moment, który mnie bardzo wzruszył. W amoku prac nad płytą, sesji, szukania szwedzkich czcionek, ustawiania lotów, logistyki, kręcenia klipów na różnych krańcach Europy, rozciągając mózg między Sztokholmem a Barceloną, totalnie zapomniałem o sensie projektu. I dopiero kiedy odpaliliśmy manifest z napisami angielskimi i tak na spokojnie sobie tego posłuchałem, bardzo się wzruszyłem. Bo spełniło się marzenie zbudowania zespołu międzynarodowego – nagrania płyty z głęboką poetyką, która daje tzw. *big picture*. Słuchasz tego i poznajesz Europę. Czuć tu np. ogromny wpływ kultury amerykańskiej na Hiszpanię, bo razem z Anglią są też bastionem, łącznikiem z Amerykami, co nie każdy sobie

uświadamia. Ale nagle dowiaduję się, że Szwecja jest największym eksporterem broni. Takie smaki, wiedza sprawnie ujęta w rymy, bo nawijają tu dobrzy raperzy, to dla mnie wielka wartość.

Jest tu wiele języków, ale dla niektórych już to, co śpiewasz po polsku, staje się kompletnie niezrozumiałe. Zarzuca się Tobie, że tak bardzo przekształcasz język ojczysty, że tworzysz swój własny dialekt.

Masz rację i jestem tego świadom, ale z drugiej strony jest okropny trend na to, by wszystko upraszczać, banalizować. Coraz częściej słowa są opracowywane na pierwszych skojarzeniach, ale ja wierzę, że postęp zawdzięczamy zawilosciom. Bawię się słowami na wielu poziomach semantycznych, choć wiem, że to odcina tysiące osób od mojej twórczości. Dla niektórych jest to kosmiczny bełkot, dla innych przeintelektualizowane gówno.

Jak sobie radzisz z taką krytyką?

Dla mnie wynika to po prostu z pewnego lenistwa intelektualnego, ale i ksenofobii, na zasadzie: „nie znam, nie rozumiem – nie lubię”. Zachodnie kultury są bardziej otwarte na nowe rzeczy, przyjmują je z entuzjazmem. U nas nadal dominuje wrogie nastawienie. Dla mnie niepojęta jest w ogóle ta emocja, że jak doświadcza się czegoś, czego się nie rozumie, to znaczy, że jest to po prostu popieprzone i złe. Dzisiaj mam do tego totalny dystans, już się z tym pogodziłem, każdy ma prawo do swojej oceny. Liczy się dla mnie to, że staram się nikogo nie krzywdzić tym, co robię, i raczej mam prawo mówić swoim językiem. Zwłaszcza że staram się też robić dużo dla zachowania języka polskiego.

Jesteś artystą interdyscyplinarnym, a po tym albumie nawet trudniej jest Cię skategoryzować, bo jeszcze bardziej wymykasz się gatunkom. Czy jest to w ogóle rozkmina, na którą zużywasz swój wewnętrzny prąd?

Nie, ja się nad tym w ogóle nie zastanawiam, choć wiem, że jest to pewien rodzaj marketingu, budowania marki i identyfikacji. Czasem na tym traciłem, gdy nagle zmieniałem kierunek poszukiwań. Tak długo, jak będę robił różnorodne projekty z najlepszymi w swoim fachu, tak długo będę się rozwijał i pozostanę nieuchwytny. Teraz uderzyłem w orkiestry dęte, więc można pomyśleć, że trochę oszołom. Nawet kiedy *Dzień Dobry TVN* przygotowało o mnie reportaż, wszyscy mówili o mnie jak o kosmicie. Jestem indywidualistą. Mam trochę za dużo energii, mam dziwne pomysły, ale przede wszystkim strasznie dużo pracuję, żeby je zrealizować w skostniałych strukturach myślowych. Bardzo lubię spotykać ludzi, łączyć różne elementy i dziedziny, czasem zdarzy się niewypał, ale warto ryzykować dla tych wyjątkowych momentów, kiedy udaje się stworzyć coś naprawdę świeżego.

Wracam autobusem do domu. Dzwoni L.U.C.: „Hej, nie masz przypadkiem moich kluczy, bo nie mogę znaleźć?”. Niestety nie mam, więc jedzie szukać ich na Kruczą. Całkiem możliwe, że na miejscu zaciągnęli go do Lindy Hopu. Na drugi dzień piszę do niego SMS-a: „Długo wczoraj kluczyłeś w poszukiwaniu kluczy?”. Odpowiada prawie od razu: „Okazało się, że cały czas miałem w nerce. Musiałem połknąć z tymi napojami ☺”.

SZYMON SZMYD

Wydarzył się w 1988 roku. Jest absolwentem filmoznawstwa i filologii polskiej. Na co dzień daje słowo jako copywriter. Muzyka daje mu kopa lepszego niż kawa. Lubi zaglądać miastom pod podszewkę. Niemal do perfekcji opanował sztukę prokrastynacji (opis zlecił koledze).

MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

Oprócz pracy i obserwowania ludzi, rysuje i zmyśla. Marzy o podróży na Północ, własnej huśtawce i stworzeniu animowanego teledysku.

L.U.C.
(WŁAŚCIWIE
ŁUKASZ ROSTKOWSKI)
MUZYK, PERFORMER,
RAPER, SPOŁECZNIK, REŻYSER
TELEDYSKÓW, PRODUCENT...
SŁOWEM: CZŁOWIEK
ORKIESTRA. TRUDNY DO
SKATEGORYZOWANIA.
NIEUCHWYTNY I GADATLIWY.
ZAANGAŻOWANY I ODDANY
SZTUCE, KTÓRA NIESIE ZE SOBĄ
GŁĘBSZY SENS. SŁOWA UGNIATA
JAK PLASTELINĘ.





CZECHY – MAŁY KRAJ, WIELKIE PIĘKNO

MAGDALENA BRODACKA | KATARZYNA DOMŻAŁSKA

Do celu pozostały już tylko trzy godziny. Pociąg mija Ostravę-Svinov i kieruje się na południe, a jakieś nieokreślone ciepło, którego źródła nie potrafię zidentyfikować, rozlewa się na wszystkie moje myśli. Jak się później okaże, będzie mi ono towarzyszyło z każdym kolejnym powrotem do Czech – małego kraju wielkiego piękna.

Od kilku lat Czechy mają dla mnie melodię piosenki Karla Plíhala *Nagasaki Hirošima*. Ten prosty utwór znanego czeskiego gitarzysty i kompozytora był kluczem, którym otwierałam kolejne drzwi specyficznej czeskiej kultury i mentalności.

*Tramwajem dwójką jeździłem do Židenic
Z takiej miłości zazwyczaj nie ma nic
Przez taką miłość są tylko worki pod oczami
I dwa spalone serca Nagasaki Hirošima¹*

STACJA: BRNO

Początki nie były proste. Jak na ponad 10-milionowy kraj zachodnioeuropejski, Republika Czeska zaskakiwała swoją „maleńkością” i swojskością, niezależnie od miasta, w którym przebywałam. Moim szczęściem, początkowo (niestety) niedocenianym, okazały się Morawy i ich stolica – Brno. Największa, bo 200-tysięczna wieś, jak sami je nazywają jego dowcipni mieszkańcy. Morawy to jedna z trzech krain historycznych Republiki Czeskiej (obok Czech i Śląska Czeskiego), którą można pokochać za nadzwyczajne piękno przyrody. Wystarczy wsiąść do pociągu byle jakiego (choć byle jakich w Czechach nie ma) i obserwować widoki. Moje Czechy mają barwę zieleni i może właśnie dlatego przywołują na myśl wiosnę i wakacje. Z letnim kinem pod gołym niebem (Sorrentino z czeskimi napisami to jeszcze większe arcydzieło), z polami słoneczników na najdłuższej trasie rowerowo-rolkowej ciągnącej się przez całe Brno, z (nie najlepszymi) czeskimi obiadami, które warto spożyć już

1 Fragment piosenki *Nagasaki Hirošima* autorstwa Karla Plíhala. Tłumaczenie własne.

” CZESI NAJCHĘTNIEJ SPOTYKAJĄ SIĘ W GOSPODZIE, PRZY PIWIE, Z GITARĄ I NIERZADKO INNYMI INSTRUMENTAMI

w samo południe, bo po 12 wybór na uniwersyteckiej stołówce jest mocno ograniczony, oraz z mitycznym tramwajem numer 2 z piosenki Plíhala, który naprawdę jeździ do Židenic.

Gdyby spod sterty kurzu wydobyć zarejestrowane koncerty Plíhala, można by pokusić się o stwierdzenie, że Czesi już dawno temu zaadaptowali modny dziś minimalizm, a jego czasem groteskowa forma raczej nigdy nie wyjdzie z użycia. Wystarczy gitara, wcale nie nadzwyczajny głos i teksty, z którymi każdy może się identyfikować. Nieślabnącą popularnością cieszą się pieśniarze i pieśniarki, choćby bardzo dobrze znany w Polsce Jaromír Nohavica (razem z Plíhalem wystąpili w filmie Petra Zelenki *Rok diabla* z 2002 roku), współczesniona wersja chłopaka z gitarą – Tomáš Klus, czy nieżyjąca już, lecz nadal słuchana Zuzana Navarová. Nie jest zatem zaskoczeniem, że Czesi najchętniej spotykają się w gospodzie, przy piwie, z gitarą i nierzadko innymi instrumentami. Spędzone w ten sposób piątkowe wieczory nie wykluczają tego, by w sobotę panie wyciągnęły ze swoich szaf najpiękniejsze suknie, a panowie założyli eleganckie garnitury i razem udali się do filharmonii bądź opery. Czeska kultura jest tygłem małych, lokalnych tradycji i zachwycającej kultury wysokiej. Niemal każdy Czech zna kompozycje Leoša Janáčka i Antonína Dvořáka, a przy dźwiękach *Weltawy*

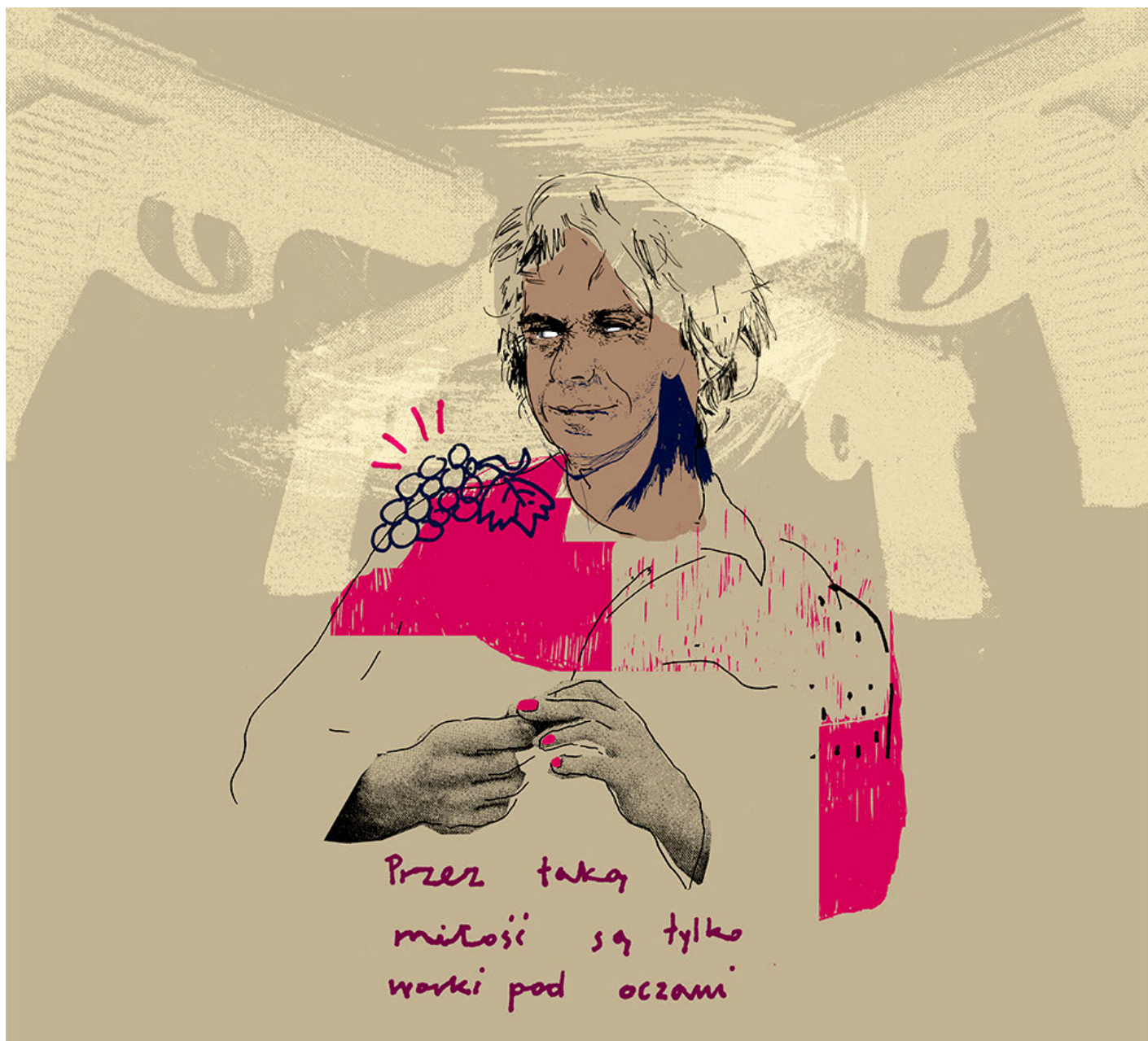
Bedřicha Smetany, odzwierciedlającej uczucia Czechów do ziemi, uroni łzę.

STACJA: MIKUŁOV

Około 40 kilometrów na południe od Brna znajduje się blisko 7-tysięczne miasteczko Mikulov. Malutkie, pełne malowniczych wzniesień i widoków, kolorowych domków i winnic, zaskakujących dosłownie na każdym kroku. A nad tym wszystkim góruje Svatý kopeček, czyli Święty Pagórek, na którego szczyt prowadzi kamienna droga krzyżowa otoczona winnicami. Żadne słowa nie oddadzą uczucia absolutnej błogości, które rozlewa się po ciele wraz z sączonego burćakiem we wrześnie południe na szczycie Svatego kopečka. Jego rozmiar nie może być jednak lekceważony: „Jak się człowiek uchleje, to w Kersku też jest Kilimandżaro” (Bohumil Hrabal, Święto przebiśniegu).

Burćák – słowo klucz dla wszystkich amatorów wina (i nie tylko), to kilkudniowy, fermentujący moszcz z winogron, który smakuje jak najśłodszy sok i potrafi zaskoczyć jak najmocniejszy alkohol. Produkcja burćaku odbywa się głównie na Morawach, a jego święto przypada na miesiąc wrzesień. To wręcz kulturowy fenomen wspólnototwórczy. Burćák i wino mają moce magiczne – wyzwalają w Czechach radość, zachęcają do wspólnego przeżywania tego wyjątkowego okresu podczas licznych festynów, zabaw i koncertów organizowanych z okazji winobrania. Na Morawach, a zwłaszcza w Mikulovie, znaleźć można liczne szlaki turystyczne śladem największych winnic i towarzyszące im pamiątki historyczne.

Każde czeskie miasto ma swoją winotekę z piwnicą pełną winnej ambrozji, a w niej towarzystwo, śmiech i muzykę do rana. Znane są również liczne przypadki narażania dóbr prywatnych w celu przetransportowania prosto z winnicy świeżutkiego burćaku dla szerszego gro-



na konsumentów. Plastikowe zakręcane butelki z fermentującym napojem, mają tendencję do wybuchania w najmniej spodziewanym momencie. Choć częściej, zanim burćlak dotrze do swoich wielbicieli, zostaje wypity przez przezornych ochotników, którzy podjęli się próby przewiezienia go.

Na przekór tym, którzy Czechy kojarzą tylko z piwem, jest pocieszenie – każdy może znaleźć tu coś dla siebie. Heroicznie wdrapać się na swoje Kilimandżaro i bez nieustannej presji czuć radość – tu i teraz. Ucie-

leśnieniem takiej życiowej postawy jest czeski pábitel – osoba odnajdująca piękno w najzwyczajniejszych sprawach dnia codziennego. Określenie to wymyślił Bohumil Hrabal, największy piewca „małego” życia.

STACJA: PRAGA

Praga, stolica Republiki Czeskiej, jedno z najpiękniejszych miast europejskich, które co roku przyciąga miliony turystów. Można odnieść wrażenie, że „spacer” nadzwyczaj zatłoczonym Mostem Karola nikomu nie

jest straszny, a widok z Hradczan za każdym razem zapiera dech w piersiach. Magiczna Praga, jak określił ją Angelo Maria Ripellino, ujawnia swe tajemnice zwłaszcza nocą, gdzie oświetlone mosty (nazywana jest miastem mostów) oraz wąskie uliczki tworzą swoisty labirynt. Tym bardziej trzeba być nieustannie uważnym na to, co czyha na nas tuż za rogiem lub... nad samą głową. Możemy bowiem natknąć się na dzieła sztuki współczesnej, które są integralną częścią miasta.

Jednym z najbardziej znanych artystów związanych z Pragą jest David Černý – naczelny „wkurzaczy czeski” jak nazwał go Mariusz Szczygieł. Ten ekscentryczny artysta buduje czeską tożsamość w zmiennych kontekstach przestrzeni. Po 1989 roku sztuka współczesna w Republice Czeskiej stała się bliska życiu i krwioobiegowi każdego obywatela. Černý śmiało pokazywał, że dzieło sztuki nie jest bytem odrealnionym, ale współlistnieje z mieszkańcami miast. Jest autonomiczne, nie potrzebuje specjalnie wypreparowanych miejsc, lecz przestrzeni, w których „funkcjonuje” na równi z człowiekiem. Najbardziej znane dzieła Černego w Pradze to Sikający – rzeźba-fontanna, która przedstawia dwóch mężczyzn sikających na mapę swojego kraju, Koń – rzeźba podwieszona pod sufitem w pałacu Lucerna, ukazująca świętego Wacława, który siedzi na brzuchu swojego martwego konia, czy Niemowlęta – ogromne rzeźby dzieci raczkujących po wieży telewizyjnej dzielnicy Žižkov.

Jednak dziełem, które nieustannie fascynuje mnie najbardziej, jest Wisielec, aktualnie „królujący” nad ulicą Husa. Rzeźba po raz pierwszy została wystawiona w 1997 roku na wystawie Respekt w Willi Richtera, znajdującej się na Malej Stranie w starej części Pragi. Później Wisielca można było zobaczyć w Berlinie, Sztokholmie, Londynie, Chicago, Rotterdamie, Budapeszcie, Barcelonie oraz we Wrocławiu. Jak stwierdził Mariusz Szczygieł w książce *Zrób sobie raj*, „Po prostu gdziekolwiek Wisielec zawisnie, tak ze swoim obojętnym wyrazem twarzy, natychmiast staje się syntezą epoki”. Rzeźba ma 220 centymetrów wysokości i jest wykonana z laminatu. Przedstawia postać mężczyzny, który dosłownie wisi nad głowami spacerowiczów, jedną ręką trzyma się drążka przytwierdzonego do dachu kamienicy i przygotowuje się do ostatecznego

upadku. Istotny jest fakt, że rzeźba ma twarz Zygmunta Freuda. David Černý świadomie wzbudzał w przechodniach przerażenie i idącą za nim refleksję. Sprawczość dzieła najlepiej objawia się nocą lub w ostrym słońcu, ponieważ rzeźbę myli się z człowiekiem. Stąd częste telefony na policję o potencjalnym samobójcy na ulicy Husa. Najważniejsze jednak, że na przekór wszelkim okolicznościom, obojętny wyraz twarzy Wisielca zmusza do zatrzymania się, wyłączenia wzroku i chwili refleksji. Pod prąd epoki, w której żyjemy.

Mijane stacje są dla mnie okazją do snucia kolejnych historii, zapisywania myśli w takt jadącego pociągu, odkrywania nowych muzycznych inspiracji i zaczytywania się w czeskich powieściach. W gruncie rzeczy Czechy nie są krajem nadzwyczajnie wyjątkowym. Jednak w ich prostocie i „niewielkości” tkwi prawdziwe piękno. A czy to nie wystarczająco dużo? 🍷

MAGDALENA BRODACKA

Polonistka i bohemistka. Myśli literaturą, słucha muzyką (klasyczną), patrzy fotografią, marzy po czesku.

KATARZYNA DOMŻAŁSKA

Absolwentka kierunku Projektowanie Graficzne na ASP we Wrocławiu (2012). Na co dzień zajmuje się projektowaniem graficznym, ilustracją oraz animacją. Laureatka licznych konkursów. Obecnie freelancer.



CZY DŁUGOŚĆ MA ZNACZENIE?

MARCIN SZTYPA | KAJETAN VON KAZANOWSKI

Zapewne większość panów asekuracyjnie udzieli negatywnej odpowiedzi na to pytanie. Ale jeśli zadamy je biegaczom, tak chętnie paraliżującym miasta podczas biegów ulicznych, odpowiedź może nie być już taka oczywista.

Odkąd pojawiła się moda na bieganie po parkach i chodnikach jako alternatywa do biegania po knajpach, ilość maratończyków poszybowała w górę. Mało tego, biegacze coraz tłumniej meldują się na zawodach, których dystans znacznie przekracza ten królewski. Pchają się do tego przedstawiciele wszystkich kategorii wagowych, a ja jestem na to dowodem. Takie mamy czasy, że dobrze widziane jest prowadzenie zdrowego trybu życia. Od produktów fit uginają się półki w marketach, ludzie wystrzegają się śmiercionośnego glutenu, a właściciele siłowniopodobnych przybytków nie mają prawa do narzekań – pilatesy, zumby i inne zajęcia dla miłośników grupowego wyciskania potu są skazane na sukces. Już nie

tylko panie są na diecie. Społeczne przyzwolenie na posiadanie mięśnia piwnego zdecydowanie spadło (wiem, bo mam). Moda na luźne ubrania gdzieś wyparowała, krój slim-fit wymusił zmianę definicji sześciopaka.

Nigdy nie śledziłem mody. Nie interesowało mnie co należy nosić, czego słuchać, gdzie chodzić, ale w bieganiu jakoś wsiąklę. Zaczęło się od tego, że musiałem coś zrobić z czasem w trakcie treningu mojego syna. Nie było sensu wracać do domu, pora roku była idealna – pobiegam. Szybko zapadający zmrok pozwalał na truchtanie w zmechaconych dresach. Nie będę przecież inwestował w te dziwne, obcisłe ciuchy – zaraz i tak mi się znudzi. Nie znudziło, dzień robił się coraz dłuższy – trzeba było zrobić zakupy. Kilometry zliczane przez aplikację w telefonie okazały się narkotykiem. Dumę z pierwszego przebiegnięcia 10 km pamiętam do dziś. Kilka miesięcy później pierwsza dycha na zawodach wszystko przypieczętowała.

MOCNIEJ! DŁUŻEJ!
WIĘCEJ! DAJESZ!
SZYBCIEJ! JESZCZE!
DALEJ!



Ky
2017

Bieganie na 5 km jest dla cieniasów. Zresztą takie zawody są chyba tylko dla gimnazjalistów. W bieganiu masowym zaczynamy od dychy. No i już zrobiło się przyjemnie, już są dwie cyferki, budzące podziw niebiegającej mniejszości. Potem półmaraton. To już konkret, nie dla podlotków. Chociaż... pozostaje to nieszczęsne „pół” w nazwie. Tak jak pół litra w ulicznej sodzie z czasów PRL, którego nie da się donieść do domu – jak powiedział jeden z koneserów w kolejce do monopolowego. Nie mamy innego wyjścia, bierzemy się za drugą połówkę. To już coś. Maraton.

Zwykli biegacze, truchtający po pół godziny kilka razy w tygodniu, to margines środowiska. Prawdziwi biegacze nie biegają – oni trenują. Mają wybiegania, rozbiegania, interwały i inne „akcenty”. Mają plany treningowe i kalendarze startów. Mają całe życie podporządkowane treningowi. Pizzy nie zjedzą, kielicha nie wypiją, wyspać się muszą. Imprezowo beużyteczny, bo będzie się ścigał.

Że niby można biegać dla własnej przyjemności, bez rywalizacji? Wymówka dla amatorów. Zresztą z czasem wszyscy rywalizują. Z kolegą z osiedla, z grubawym gościem, który ostatnio był o kilkanaście sekund szybszy, a przynajmniej z samym sobą – poprawiając życiówki.

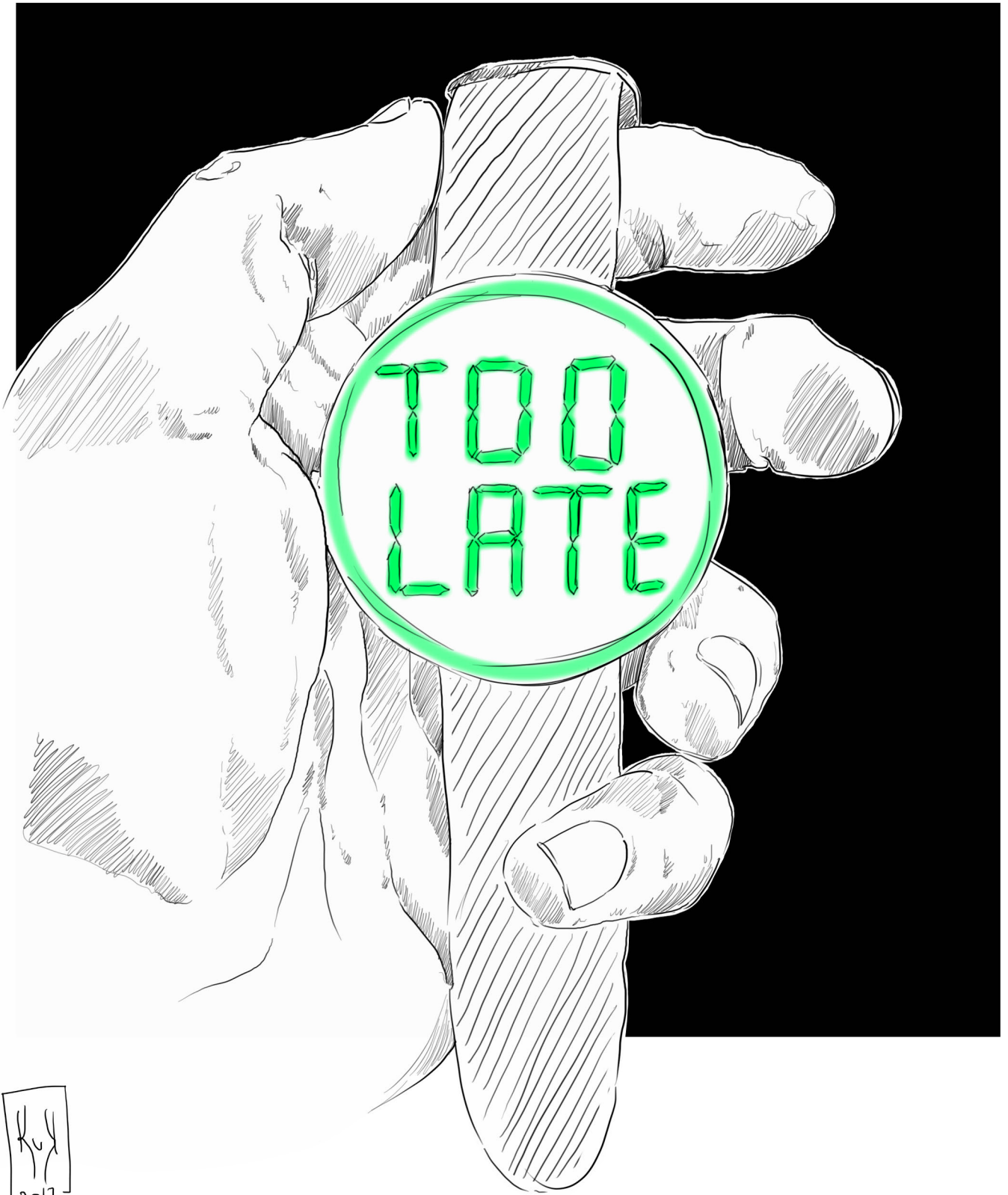
Są prawdziwi i prawdziwi. Prawdziwi są szybcy. Aż dziw bierze, że przy tej prędkości zauważają tych, dla których liczy się samo ukończenie. Co to w ogóle za gadanie? Satysfakcja z udziału? Wymówka dla frajerów. Powinni pozmniejszać limity czasowe i zdejmować takich z trasy. Oczywiście nie wszyscy. Są też tacy, którzy kibicują na mecie maratonu po sześciu godzinach od startu. Ale nie wszyscy rozumieją, ile wysiłku to kosztuje.

Za to tak w środku, w biegaczu, każdy z nas, na mecie, jest z siebie tak samo zadowolony. I dobrze. Nieważne, że przez najbliższe dni będziemy chodzić z gracją zombie. Było warto. Dwie połówki na raz. No nieźle, no nieźle. 🍷



KAJETAN VON KAZANOWSKI

Absolwent projektowania ubioru, spędzający wolne chwile rysując przy komputerze. Pieprzony esteta, zachwycający się każdym odstępstwem od normy, oraz fanatyk muzyki, wydający ostatni grosz na kolejną płytę.



WE WANT YOU!

PISZ NA: REDAKCJA@FUSS.COM.PL



FUSS WSPÓŁTWORZONY JEST PRZEZ PASJONATÓW – OSOBY OTWARTE, CHĘTNE DO DZIELENIA SIĘ SWOIMI PRZEMYŚLENAMI, ZAINTERESOWANIAM, PODRÓŻAMI, KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI FASCYNACJAMI. ZACHĘCAMY DO KONTAKTOWANIA SIĘ I PRZESYŁANIA SWOICH PROPOZYCJI TEKSTÓW.

TEMAT NUMERU 22:

OLD BUT GOLD

ZACHĘCAMY TAKŻE DO WSPÓŁPRACY GRAFIKÓW, ILUSTRATORÓW, FOTOGRAFÓW I WSZYSTKICH, KTÓRYM NIE OBCA JEST WOLNOŚĆ TWÓRCZA I CHĘĆ ARTYSTYCZNEGO WYRAZU.